№ 29 Warszawa, dnia 10 (22) Lipca 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Najnowszy utwór Wiktora Hugo.

Główny twórca straszliwej inkwizycyi hiszpańskiej „Torquemada", jest jednym z bohaterów świeżo ogłoszonej kreacyi sędziwego poety Francyi, która też nosi tytuł powyższy.

Dramat ten, jak poświadcza znany literat niemiecki R. Prölss, z którego czerpiemy te szczegóły, był już raz przed czterdziestu laty anonsowany przez księgarnię Lacroix w Paryżu, a miał być napisany przez poetę około 1835 roku. Nieprzyjazne okoliczności nie dozwoliły na publikacyą tego dzieła — tak że dopiero w r. b. wyszło ono w Paryżu u Calmanna Levy.

Wiktor Hugo lubuje się i często używa w swych utworach kontrastu szkarady moralnej lub fizycznej z pięknością, szlachetnością ludziej natury, częstokroć łączy on nawet te przeciwieństwa w jednym człowieku, np. jego wstrętny Triboulet jest bardzo czułym i zacnym ojcem; trucicielka Lucrecia Borgia jest skończoną pięknością i matką pełną poświęcenia. I w obecnym utworze „Torquemada" mamy postać podobną, lecz o wiele słabszą, uosobioną w markizie de Fuentel, doradzcy króla Ferdynanda. Niegdyś ten markiz, jako paź króla z Burgos, był ulubieńcem królowej i został ojcem syna, wychowanego jako królewicza. Królewicz ten poślubił księżniczkę i miał syna Don Sancho de Salinas, który jest wnukiem markiza i był uważany za umarłego; zaginął bowiem młodym chłopcem, będąc porwany przez Vicomtea d'Orthez i zamknięty w klasztorze, gdzie wychowywał się z córką Vicomtea, który ich pragnie połączyć w celach politycznych. Oboje młodzi kochają się wzajemnie. Tę tajemnicę odkrywają również markiz Fuentel i król Ferdynand. Król widzi w młodym Don Sancho niebezpiecznego rywala i postanawia usunąć go gwałtownie z ziemi, zaś uroczą narzeczonę uczynić posłuszną swej woli, i z tym swoim planem zwierza się król markizowi.

Markiz, w którego duszy budzi się miłość rodzicielska, jest bowiem dziadkiem młodego Sancho— widzi straszliwe niebezpieczeństwo zagrażające jego wnukowi od króla, i w tej chwili budzą się w nim wszelkie dobre i złe instynkta jego natury. To położenie rzeczy wytwarza walkę pomiędzy podejrzliwym, samowolnym a chytrym królem Ferdynandem z jednej strony, a jego ministrem, markizem de Fuentel z drugiej strony. Walka ta i jej przebieg wypełnia jedną część dramatu i stanowi attrakcyą utworu.

Król waha się w wyborze środków, mających mu posłużyć do osiągnięcia zamiaru. Albo młody Sancho ma być zabity w chwili, gdy młoda para będzie prosić króla o błogosławieństwo i pozwolenie, albo też Don Sancho, pod pozorem, że złożył część ślubów zakonnych, ma być porwany i uwięziony w klasztorze, podobnież i jego narzeczona Róża.

Wszystko jest przygotowane i tylko czeka skinienia króla, aby rozkaz wypełnić. Fuentel wie o tem, a zapytany przez króla o radę, wiedząc i znając podejrzliwość jego, postanawia doradzać mu śmierć don Sancho. Rada ta wywołuje rzeczywiście opozycyą króla, który za zbliżeniem się narzeczonych daje znak, by ich porwano i osadzono w klasztorach.

„Bywa czasami" — odzywa się król do markiza — „że kobietę uwalnia się z klasztoru."

„A nawet mężczyznę",—dodaje szeptem markiz z ukrytym gniewem.

W klasztorze, w którym się niegdyś Sancho i Róża wychowywali, przebywał pod dozorem pewien mnich, którego zapatrywania i kazania zdawały się być niebezpiecznemi dla jego przełożonych.

Jest to Torquemada, w którego oczach świat cały jest pełen zepsucia, a straszny los piekielny grzeszników wprawia go w namiętny stan ekstazy. Jedynie w stosie inkwizycyjnym widzi on ratunek dla błądzących i heretyków, by ci krótkiem cierpieniem doczesnem zasłużyli sobie na wieczną nagrodę. Kościół widzi w Torquemadzie nowy czynnik szyzmy i upoważnia biskupa do przeprowadzenia procesu z mnichem i zmuszenia go do odwołania szerzonych nauk.

Przesłuchanie obwinionego odbywa się na podwórzu klasztornem, tuż nad odchylonym grobem, który w razie oporu mnicha, ma żywcem pochłonąć nieszczęśliwego entuzyastę.

Torquemada nie chce odwołać swych nauk, więc biskup każe mu wstępować do grobu. Na każdym stopniu zapytuje go biskup czy odwołuje głoszone nauki i zawsze otrzymuje przeczącą odpowiedź. Na rozkaz biskupa dwóch mnichów ciężką kamienną płytą zakrywają straszliwy grób i śpiewając pieśni pogrzebowe oddalają się z podwórza.

W owej chwili Sancho i Róża wiodąc z sobą rozmowę miłosną, zbliżają się na miejsce, które w swych głębiach kryje żywego człowieka. Głosy skargi i rozpaczliwe wołania o pomoc zamkniętego Torquemady budzą ich ze snu miłości. Don Sancho natęża wszystkie swe siły, aby odsunąć płytę grobową, lecz wszystko napróżno. Ogląda się za narzędziem i spostrzega opodal żelazny krzyż stojący nad grobem. Donna Róża chce go powstrzymać od wyrwania krzyża, a tem samem popełnienia świętokradztwa, lecz Don Sancho ze słowami, że nie można godniejszego i lepszego użytku ze świętego przedmiotu zrobić, jak uratować za jego pomocą życie człowieka, porywa krzyż, podnosi płytę i z grobu wychodzi

Torquemada. Swym wybawcom przysięga on wieczną wdzięczność i ofiaruje im swe usługi i wpływy.

Najbliższy akt przedstawia nam Torquemadę u szczytu potęgi. Inkwizycya pod jego kierunkiem jest w pełnym rozwoju. Ten stan rzeczy wywołuje kolizyą pomiędzy królem a kościołem reprezentowanym przez Torquemadę. Król obawia się, by inkwizycya nie uszczupliła jego władzy i nie zagroziła jego potędze. Lecz Torquemada nie występuje w tym akcie czynnie, widzimy go tylko, jak idzie na czele posępnego orszaku inkwizycyjnego.

Dopiero następny akt poświęcony jest wyjaśnieniu charakteru Torquemada a to w przeciwstawieniu do kontemplacyjnego i cichego Franciszka z Pauli z jednej strony, a papieża Aleksandra VI z drugiej strony, który pragnie jedynie świeckiej władzy i dąży do użycia darów fortuny.

Czwarta część a trzeci akt dramatu maluje nam prześladowania żydów w Hiszpanii w czasach inkwizycyi. W poprzednim akcie mieliśmy silną satyrę na papieztwo, w obecnym spotykamy się znów z satyrą pełną goryczy i imponującej siły na absolutne rządy króla hiszpańskiego. Mamy tu scenę, w której król i królowa naradzają się co mają uczynić z pieniądzmi złożonemi przez żydów celem wykupienia się od prześladowań inkwizycyi; czy lepiej schować je i żydów oddać na łup Torquemadzie, czy też bronić ich? Przeważa drugie zdanie, zachodzi bowiem obawa rozszerzenia zbytecznego szkodliwej dla króla władzy inkwizycyi.

W owej chwili wchodzi Torquemada, aby rzucić klątwę na nieposłusznych. Drżąc zezwalają oboje na tępienie żydów.

„Sądzicie, że ja potrzebowałem waszego pozwolenia?" woła Torquemada i zrywając zasłonę pokazuje plac zamkowy pełny stosów gorejących na których płoną niewierni.

Dopiero w czwartym akcie spotykamy się znów z parą zakochaną a mianowicie z Don Sancho i donną Różą. Fuentel otrzymał od króla rozkaz, by Różę, chociażby gwałtem, uwiózł z klasztoru i oddał królowi. Z danego ogólnikami rozkazu korzysta markiz, aby równocześnie uwolnić z klasztoru Don Sancha. W chwili gdy wszystko jest przygotowane do ucieczki zakochanych, zdradza ich zamiary Torquemadzie błazen Gucho. Ten zjawia się nagle przed zakochaną parą, lecz poznaje swych wybawicieli w oskarżonych i natychmiast się decyduje dopomódz im wbrew woli króla i połączyć zakochanych węzłem małżeńskim. Tak Sancho jak i Róża błogosławią tę chwilę nieprzewidzianego spotkania i rozmyślają nad przeszłością, gdy z grobu klasztornego uwolnili skazanego mnicha a dziś gwałtownego potentata, przed którym sam król drży. Wspomnienie to budzi w ich pamięci najdrobniejsze szczegóły pierwszego spotkania na podwórzu klasztornem—te bezskuteczne usiłowania podniesienia płyty grobowca — widok krzyża żelaznego na grobowcu, który Sancho z poświęconej ziemi wyrywa, aby otworzyć więzienie grobowe. Torquemada zadrżał przy tym szczególe. „Bądźcie przeklęci!" woła głosem oburzenia. Obecnie musi on ich uwolnić już nie od prześladowań króla, lecz od wiecznego potępienia. I w owej chwili nie waha się on w użyciu swego środka ratunku zbłąkanych i grzeszących—opuszcza kochających się w milczeniu, zostawiając ich w słodkiem marzeniu, aby zawyrokować ich winę. Rozmarzonych miłością budzi posępny pochód skazanych na stos. Okrzykiem Sancho, który przeczuwa okropną przyszłość, kończy się to dzieło.

Stosunek kochających się do króla, do Fuenteli, do Torquemady nie zostaje poruszony, a dążenie twórcy inkwizycyi, skierowane ku poprawie całej ludzkości, rozpływa się w tym jednym epizodzie.

Taką jest treść najnowszej pracy Wiktora Hugo.

Co do samej oceny tej kreacyi, wywołała ona wogóle bardzo korzystne sądy i krytyki nawet u nieprzyjaciół sędziwego poety.

Z wielu krytyk i sądów zacytujemy zdanie bezstronne R. Prölssa.

Przy bliższem zbadaniu poszczególnych części tego dramatu, otrzymujemy—tak pisze wzmiankowany krytyk—wrażenie, jakobyśmy oglądali pyszne torso. Poeta przerywa akcyą niemal w połowie utworu, a co więcej, powiedzielibyśmy, że wywołane i postawione przez niego kolizye, nie chciał czy nie umiał rozwiązać w sposób prawdziwie tragiczny. Można to wprawdzie tem usprawiedliwić, że autor podjął dwa odmienne motywa, których nieumiał zespolić w jednolitej akcyi i do niej przywiązać zainteresowanie się czytelnika. Wyrodziła się w ten sposób dwulicowość akcyi i interesu, która stała się przyczyną, że gdy jedna część dramatu, jeden motyw, np. walka króla z Torquemadą, góruje, druga część, miłość zakochanych i Fuentela, wychodzą epizodycznie.

Ideom tego dramatu brakuje zatem wspólnej podstawy działania, wspólnego tła, a temsamem nie ma tam także tragiczności stopniowo wzrastającej. To też Torquemada, którem to nazwiskiem autor ochrzcił to dzieło,—nie jest wcale bohaterem tragicznym. On sam raczej odgrywa rolę przeznaczenia, aniżeli osoby, na której spełnia się przeznaczenie. Również i dalsze dwie osoby, król Ferdynand i Markiz Fuentel, wprowadzone przez autora w akcyą dramatyczną, nie zostały wyzyskane i przeprowadzone tragicznie, gdyż w końcowych scenach znikają nam z oczu.

Wiktor Hugo zerwawszy z dawną tradycyą dramatyczną jedności miejsca, posuwa swe upodobanie w zmianach do tego stopnia, ze każdy akt odgrywa się w innej miejscowości, którą dobitnie charakteryzuje. Natomiast poszczególne sceny w akcie odznaczają się ścisłą jednością miejsca, co pociąga za sobą ten błąd, że poeta nie może działających osób wprowadzać do każdego aktu, a tem samem musi ich epizodycznie traktować. I tak np. w akcie pierwszym nie ma Torquemady, gdy znów drugi przedstawia z osób działających w dramacie tylko Torquemadę i dwie obojętne, ginące w dalszych aktach osoby Franciszka z Pauli i papieża Aleksandra VI.

Tylko w jednym prologu udało się autorowi wprowadzić w akcyą wszystkie osoby dramatu, lecz i to prawda, że prolog ten mieści się na 76 stronach, gdy cały utwór zawiera 188 stronic.

Wogóle jednak dramat ten odznacza się potężnym talentem, wysoką ideą i bujną wyobraźnią. Posiada on zwykłe zalety pióra poety, którego malownicze opisy zmuszają widza i słuchacza do podziwu. Również poszczególne sceny dramatu posiadają tę czysto Hugonowską treściwość, dramatyczność i działają piorunująco na widza.

Na szczególną uwagę zasługuje jeszcze język. Poecie udało się w zupełności nadać aleksandrynom nadzwyczajną ruchliwość rytmiczną i wybornie zastosować do dramatycznego stylu.

Reasumując wszystkie powyższe uwagi, „Torquemada" nie jest skończonem i wzorowem dziełem artyzmu i dramaturgii, lecz każda poszczególna scena jeśli nie posiada cechy wysoce dramatycznej, to nosi znamię geniuszu, a całość do cyklu utworów genialnych musi być zaliczoną.

O biedna dziewczyna!

Heń, na wzgorzu, po za siołem,
Szumi gaj zielony,
Z pochylonem w ziemię czołem,
Stoi konik wrony.

Konik czeka na wojaka,
Wojak dziewczę pieści,
Minie chwilka — lotem ptaka,
Oba mkną bez wieści.

Brzmią wojenne trąby z dala,
Ach, śmierci sygnały!
Oko woja się zapala,
Uściski skonały...

Pozostaje dziewczę same,
Jak w polu ptaszyna,
Łza się toczy — żłobi plamę,
Serce w żal się ścina!...

„Zkąd te chmury, zkąd te wrogi,
Co jak potop płyną,
I padają w ludzkie progi,
Żałoby godziną!

Trawka z trawką dłonie plecie,
Liść w liściu się chowa,
Tylko ludziom na tym świecie,
Wadzi ludzka głowa!

Czy tu mało zwierza, soli
I chleba żywnego!
Każdy siedziałby na roli
I pilnował swego.

W piersi serce rosło kwiatem,
Już złamała burza!...
Już mi teraz biedz za światem,
Co się we łzach nurza...

Kędyż zwrócę biedną głowę,
Z progu ojcowskiego?
Kto tu pojmie serca mowę,
Boże mój, bez niego!...

Wypłowieją wstęgi jasne
I zapaski tkane,
Ach, na wszystko okiem zgasnę,
Tuląc serca ranę!...

I podarki zjedzą móle,
Zwiędnie liść ruciany,
Nie zadźwięczy piosnka czule,
Wiodąc mnie na łany.

Głusza zamknie ściany chaty
I okna i wrota,
Choć z za morza przyjdą swaty,
Spotka ich sromota.

Noc na wieki mnie zagrzebie,
Z moją dolą złotą,
Zgaszę gwiazdkę mą na niebie,
Żalem i tęsknotą!

I upadnę w ziemi łoże,
Jak ten listek suchy,
Dniem pogwarzy ze mną zorze,
Nocą — mogił duchy...

Raz łza padnie ojca, matki,
Na świeżą mogiłę,
Potem sobie wzrosną kwiatki.
Drobniutkie a miłe.

I wyrośnie z mego ciała,
Moc kwiecia barwnego,
A łza moja w niem zapała,
Na pamięć dla niego."

Po za wzgórzem wojak znika,
Promieniem, to chmurą,
Dziewczę oko w dal utyka,
Niby orle pióro.

Wyżej, wyżej wznosi głowę,
Na palce się wspina,
Pył tumany zwiesił płowe —
O, biedna dziewczyna!

Romania Kamieńska.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

— Nie spodziewaliście się z pewnością starej Niny na taką niepogodę?!—zawołała, gdyśmy ich oboje z naszą panią witali w ostatnim przytykającym do sieni czerwonym pokoju.

— Nie spodziewaliśmy się wogóle nikogo na tę słotę i tem większą zrobiliście nam niespodziankę swoją pamięcią!—odparła Jenerałowa uradowana prowadząc gości do błękitnego salonu.

— Co prawda i ja nie spodziewałam się wyjechać na tę biedę z domu, ale to wina mego chłopca, który jutro wyjeżdża ode mnie, a dzisiaj uparł się koniecznie złożyć państwu uszanowanie—roześmiała się hrabianka witając księdza kapelana i pannę Anastazyę z kolei.

Jenerałowa rozpromieniona prowadziła gości do salonu głównego zkąd dochodziły nas ciągle świeże, sympatyczne głosiki naszych śpiewaczek, które nie wiedząc nic o przybyciu kogoś obcego, nie przerywały sobie muzyki.

— Dajże mi pokój z salonem! — zawołała hrabianka siadając bez ceremonii na miejscu księdza Osowickiego przy zielonym stoliku.—Twoje panny tam muzykują... niechże muzykują... nie przeszkadzajmy im. Mnie tu już nie ruszy nikt od kominka, od którego jak widzę spłoszyliśmy państwa niefortunnie. Każcie nam tylko dorzucić drzewa na ognisko aby nam było ciepło i jasno i raczcie zasiąść po dawnemu na gawędkę a choćby i nierozegraną partyą do której oboje z Stefkiem chętnie należeć będziemy.

Przystaliśmy ochotnie na tę propozycyą naszych miłych gości, i skoro Antoni dołożył nam świeżego paliwa, które niezadługo buchnęło z trzaskiem wesołym jasnym płomieniem, obsiedliśmy ognisko teraz już szerszem i gwarniejszem znacznie kołem.

— Myśleliśmy, że pana nie ma już w naszych stronach? — zwróciła się Jenerałowa do Stefana. O ile słyszałam, miałeś zabawić bardzo krótko w tej okolicy.

— Miałem zabawić tylko dni dwa, odparł Mirski.

— Uprosiłam go sobie na tydzień jeszcze—rzekła hrabianka Nina — widuję go tak rzadko, że doprawdy taka dwudniowa bytność jego u mnie jest tylko podrażnieniem mego uczucia. Choć i ten tydzień nie wiele mi pomoże — dodała wpół z westchnieniem, wpół śmiejąc się.—Po każdym jego odjeździe tęsknię jak dzieciak, a trudno mi utrzymać przy sobie mego czynnego fabrykanta. Zawsze zajęty, zawsze pełno ma interesów i muszę być mu bardze wdzięczną za te dni kilka, które mi tą razą darował po za termin, co mu się nigdy dawniej nie zdarzyło!

— Korzystaj z dobrego usposobienia i utarguj coś jeszcze,—uśmiechnęła się Jenerałowa.

— Już nie śmiem, kochanko — odparła hrabianka — ma teraz ważny interes spekulacyjny do ukończenia i przykroby mi było gdyby dla mej fantazyi ominąć go miała jaka korzystna w handlu chwila. Co te twoje artystki wyrabiają Józiu? dodała wesoło, obracając się w stronę głównego salonu.

— Podług zwyczaju szaleją!—odparła śmiejąc się Jenerałowa.

W salonie w istocie działo się coś niezwykłego. Fortepian wydawszy jakiś jęk rozpaczliwy, zamilkł nagle, natomiast usłyszeliśmy wybuch szalonego śmiechu obu panien i bieganie połączone z miauczeniem kota i krzykiem papugi, która słysząc hałas około siebie, nie myślała pozostać w tyle i ochrypłym głosem na gwałt wołała „dzieńdobry". Zamilkliśmy wszyscy przysłuchując się tej wrzawie podtrzymywanej ciągle nowemi wybuchami srebrzystego śmiechu dziewcząt.

— Moja dobra Toziu — zwróciła się Jenerałowa do panny Rewińskiej: pójdź zobacz co to takiego? albo pan, panie Sewerynie, racz się pofatygować z burą do tych trzpiotów.

— Pójdę najlepiej ja — odezwał się ksiądz Osowicki — z kazaniem i benedykcyą, aby od nich odstąpiło szaleństwo, które je opanowało.

Zanim przecież jegomość ruszył się z miejsca, zanim zamknął tabakierkę i schował ją wraz z chustką do rękawa rewerendy, do pokoju wbiegł pędem czarny kot Murzyn, ulubiony faworyt panny Anastazyi, z podniesionym ogonem, na którego końcu jak chorągiew powiewała lekka batystowa chusteczka. Rozdrażniony kotek ze świecącemi jak szmaragdy zielonemi oczami, to kręcąc się młynka, to chwytając łapkami biały płatek powiewający nad grzbietem, lub przewracając koziołki obiegał pokój dokoła.

Za nim tuż zarumieniona od śmiechu, z błyszczącemi pustotą oczami, ciągnąc za rękę pannę Skarzyńską, z rozplecioną na wpół kosą, wpadła Ksenia. Ujrzawszy gości zatrzymała się w progu, ucichła i puściła rękę panny Skarzyńskiej. Natychmiast przecież zobaczywszy jakiś wyższy jeszcze i zabawniejszy skok kota, który tym sposobem uwolnić się pragnął od nienawistnego kawałka batystu, wybuchnęła nową kaskadą śmiechu, i odgarniając obiema rękami włosy spadające jej na oczy, śmiejąc się przybiegła powitać hrabiankę Ninę.

— Fe! wstydźcie się panny, bawicie się jak dzieci — rzekła Jenerałowa dobrotliwie.

— To już chyba ja tylko wstydzić się będę, ciociu .. Helena nic tu nie winna! to bardzo poważna osoba, usiłuje nawet zawsze perorować na mnie dopóki się sama nie roześmieje.

— Moja Kseniu — ozwała się hrabianka Nina z upodobaniem patrząc na naszą swywolnicę,—nic ci widzę nie pomogła długa suknia i publiczne wystąpienie na wieczorze. Niejednemu trudnoby było poznać ową posuwistą, pełną gracyi pannę Lubrzańską, okrzykniętą królową balu, w tej dziewczyńce biegającej za kotem z potarganą głową i rozplecionym warkoczem.

— Czy naprawdę okrzyknięto mnie królową balu? zapytała Ksenia pochylając się pod sofę za kotem, który ujrzawszy swoją prześladowczynię, schronił się do najciemniejszego zakątka parskając i mrucząc gniewliwie.

— Naturalnie, że cię okrzyknięto, odparła hrabianka, i powinnaś starać się uszanować twój majestat zdobywając się choć na trochę powagi.

— Ach, pani łaskawa, mnie już chyba nic nie pomoże! straciłam najzupełniej nadzieję, abym kiedykolwiek była poważną i jak to mówią: osobą dobrze — rzekła dziewczyna z pod sofy.—Otóż go mam! — dodała wyciągając kota z pod sukni Jenerałowej.

— Kseniu, czyż nie myślisz przywitać wcale pana Mirskiego? zapytała nasza pani wskazując jej Stefana, który od początku tej sceny stał z boku, przyglądając się całej tej gonitwie z kotem bardzo uważnie.

Moja Ukrainka obróciła się żywo w jego stronę.

— Ach! przepraszam... zawołała kłaniając się bardzo uprzejmie — nie widziałam pana wcale!

Mirski ukłonił się jej nizko i odrzekł:

— Nie dziwię się wcale, byłaś pani tak zajętą.

Ksenia spojrzała na niego bystro, nie wiedziała jak przyjąć te słowa i posądzała go o złośliwość. Spojrzawszy przecież w szlachetną twarz młodego człowieka i dostrzegłszy pobłażliwy uśmiech w łagodnych jego szafirowych oczach, roześmiała się i wyciągnęła do niego swoją malutką rączkę.

— Proszę mi darować — rzekła serdecznie.

Mirski uśmiechnął się łagodnie.

— Nie ma winy — odparł swoim nizkim, sympatycznym głosem ściskając jej rączkę.

Przysunąłem krzesła dla panien obu i powróciliśmy do przerwanej rozmowy. Panie bliżej kominka zaczęły sobie opowiadać zdarzenia i nowinki karnawałowe, których wesoła i gadatliwa hrabianką wiedziała zawsze mnóstwo i lubiła je z humorem i dowcipem sobie właściwym powtarzać, my zaś na drugiem skrzydle szerokiego koła, któreśmy tworzyli, zawiązaliśmy gawędkę poważniejszą tyczącą się handlu, gospodarstwa i ekonomii politycznej. Stefan opowiadał nam różne swoje kombinacye handlowe, obliczał korzyści jakie już otrzymać myśli z kanalizacyi ogromnych przestrzeni błota w dobrach swych na Polesiu.

Przez cały czas tej rozprawy uważałem, że Ksenia, która siedziała zamykając koło damskie, nie spuszczała oczu ze Stefana — nie zważając wcale na niezmiernie ożywioną dysputę pań w kwestyi

jakiegoś kostiumowego balu, na którego rzecz agitowała wesoła hrabianka, twierdząc że nasza zacna pani przez wzgląd na siostrzenicę urządzić go w swym domu powinna na zakończenie karnawału. Dziewczyna obróciła się całkowicie w naszą stronę i oparłszy głowę na poręczy fotelu, siedziała cichutko ciekawie i z natężeniem prawie przysłuchując się spokojnym, chłodnym dowodzeniom Mirskiego.

Zdaje się, że młody nasz przedsiębierca, pomimo, że nie patrzał wcale w stronę mej faworytki, czuł te szeroko otwarte, błyszczące oczy spoczywające na sobie uparcie i z zajęciem, bo kilka razy wśród mowy swej uśmiechnął się uśmiechem sobie właściwym, łagodnym, trochę smutnym, a skoro nareszcie rzecz zakończył, obrócił się nagle do Ukrainki i zapytał jej niespodzianie:

— Czy to panią zajmuje?

— Niezmiernie! odparła śmiejąc się dziewczyna, choćby przez to samo, że to jest pierwsza rzecz w świecie, której nic a nic nie rozumiem!

— Mówiliśmy przecież po polsku.

— To prawda, słyszałam słowa polskie.

— I nie rozumiałaś ich pani?

— Owszem, rozumiałam, słowa..

— A rzecz?

— Nic a nic!

— Jakto być może?

— Najprościej w świecie; brzmiało to wszystko dla mnie tak zupełnie, jak gdyby mi kto bez związku żadnego powtarzał luźne wyrazy.

— Wypadek logiczny, że wszystko co mówiłem nie ma sensu.

Ksenia wybuchnęła głośną, melodyjną kaskadą śmiechu.

— Przepraszam pana — rzekła po chwili gdy pierwszy wybuch wesołości uspokoił się nieco.

Mirski przyglądał jej się uważnie.

— Bardzo dobrze. Dlaczegóż więc słuchałaś pani tego z takiem zajęciem?

— Byłam ciekawa — odparła z cudowną prostotą moja faworytka. Nagadano mi tyle o panu jako o człowieku bardzo rozumnym, że chciałam słyszeć to co pan mówi.

— Bardzo to dla mnie pochlebne — odrzekł Mirski, ale zarazem niebezpieczne. Wyobrażała sobie mnie pani bardzo rozumnym, a znalazłaś bardzo nudnym.

— Trochę — odparła dziewczyna śmiejąc się i patrząc jasnemi oczyma w twarz młodego człowieka.

— Ależ, dziecko — odezwała się zaambarasowana nieco Jenerałowa — co też wygadujesz!

Stefan obrócił się szybko do staruszki.

— Siostrzenica pani zapytywaną jest i bardzo słusznie, że odpowiada wprost to co myśli.

— Może trochę za szczerze?

Mirski się uśmiechnął:

— Nigdy za szczerze.

— Powiedz to pan jeszcze tej mojej kozaczce, a zobaczysz do czego wkrótce z tobą dojdzie! — roześmiała się nasza pani. — Moja duszko, dodała zwracając się do siostrzenicy, powinnaś przeprosić pana Mirskiego za to wszystko.

(*D. c. n.*)

NIEBOSZCZYK ROUSSELOT.

HUMORESKA

KAROLA DESLYS.

Przekład z francuzkiego

E. H.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Dla tych, którzy nie znają normandzkiego wybrzeża, damy tu szkic pobieżny. w tym celu jedynie, aby zrozumialszem było nasze opowiadanie.

O jakie kilkaset zaledwie sążni od brzegu morza, na samym wierzchołku skały żyznym gruntem już okrytej, zaczyna się równina zielona, która się ciągnie w głąb' kraju, jak okiem sięgnąć. Urwiste wybrzeże stanowi pierwszy szaniec, drugi tworzą ogromne drzewa Są one niezbędne dla ochrony budowli i posiewów od straszliwych wiatrów morskich. Drzewa są potężne i silne, liście ich porusza bezustannie wietrzyk od morza, a gdy zahuczy burza, można by myśléć, że to orkiestra olbrzymia, którą ożywia duch Felicyana Dawida lub Webera. W zimie szczególniej, gdy niebo ciemne i ponure, a szalony wicher ugina obnażone z liści gałęzie, dusza tak dziwnego doznaje wrażenia, że go porównać można z tem chyba jakie budzą niektóre kartki Edgara Poë.

Ale obecnie najpiękniejsza panuje wiosna. W rowach kwitną pierwiosnki i niezapominajki; na łąkach pełno stokroci, płoty z głogu i bzu kwitnącego, przeplecione liściastemi powojami. Po dróżni już są w zagrodzie okalającej posiadłość. Wzrok ich zatrzymuje się na zielonej murawie ogrodu, w którym stare rozłożyste jabłonie, całe śnieżnym kwieciem pokryte, otrząsają jak śnieg białe listki na trawę.

Liście tak gęste, trawa tak wysoka, że z razu nie widać wcale śladu człowieka, zato wszystkie zwierzęta są na zawołanie. Klacz zmyka, a za nią źrebię skacze. Duża graniasta krowa staje i przypatruje się nowo przybyłym; dalej, w najrozmaitszych grupach znajdują się jej towarzyszki, jedne sobie chodzą powoli, inne pokładły się leniwo. Na prawo ryczy osioł i tarza się po ziemi, na lewo znowu prosięta powłaziły do zielonawej sadzawki przy brzegu, a dalej na wodzie pluszczą się kaczki. Trudno wymienić wszystkie gatunki zwierząt i ptactwa, jakie się przesuwają przed oczyma i ożywiają krajobraz; są tam indyki, gęsi, kurczęta, gołębie, słowem cała skrzydlata gromada, nawet oswojona sroka, witająca podróżnych, nawet kogut na płocie wyśpiewujący na głos: kukuryku!

Od pięciu minut Paryżanie wysiedli z powozu i idą piechotą, lecz nie widzą ani żywej duszy.

Wtem zatrzymuje ich głośne szczekanie i ogromny brytan wyskakuje z budy, wlekąc za sobą łańcuch żelazny: jeden ruch pana Jana uspokaja jednak groźnego cerbera, który się łasi i skomli radośnie.

Wreszcie pomiędzy pustą przestrzenią, pomiędzy dwoma rozłożystemi jabłoniami widać drzwi jakieś.

Ach, otóż i dom nareszcie, tak ukryty w ogrodzie, że go z razu dojrzéć nie było można. Na progu duży kot rudy wygrzewa się przy ostatnich słońca promieniach.

Oczom podróżnych ukazuje się najprzód duży budynek drewniany, który czas w najrozmaitsze przystrajał barwy. Tu i owdzie są mchy zielone, gdzieindziej porosła niby kora lub łuszczka, widać nawet jeszcze w niektórych miejscach staroświeckie rzeźby.

Dom ten jest jednopiętrowy, o wysokich oknach z małemi szybkami, o wielkim prostopadłym dachu, na którym poruszają się fantastyczne chorągiewki ozdobnie wyrobione z żelaza. Jakby dla oznaczenia daty pobudowania tego domu, nade drzwiami zamiast roku, jest ozdoba z drzewa, złoconego niegdyś, wyobrażająca przód okrętu, która co najmniej sięga czasów Ludwika XIII. Ach! tam dalej, na prawo, toż to wieżyczki? Jedna służy za gołębnik, to prawda; lecz druga, wnosząc z firanek u okien, zdaje się umeblowaną z pewnym rodzajem wiejskiego zbytku. Ani wątpić, — jest to dawny zamek, który obrócono na fermę, jedną z najpiękniejszych i najbardziej malowniczych w całej Normandyi.

— Jakaż to buda! zawyrokował pogardliwie Anatol, który patrzył na wszystko okiem człowieka ceniącego tylko pieniądze.

— To raj! zawołał Prosper, sądząc jak artysta.

Wieczerza czekała już na nich.

— A gdzież jest służba domowa i folwarczna? spytał Anatol.

— Niech pan na to nie zważa, odrzekł pan Jan. Jutro niedziela, zabawa w miasteczku; uwolniłem ich już dziś wieczorem; słuszna rzecz iż po pracy rozerwą się nieco. Zresztą, będziecie panowie swobodniejsi, a do usługi zatrzymałem Bastyana. Ten o którym była mowa, zjawił się natychmiast; był to duży chłop z twarzą rumianą, z włosami blond jak konopie, z ogromnym nosem i głupią miną. W tej chwili nadewszystko, tak był pomieszanym, zdumionym, tak się widocznie lękał wyrwać z czemś niepotrzebnem, że nasi dwaj przyjaciele nie mogli się powstrzymać od serdecznego śmiechu, gdy zdjąwszy niezgrabnie swoją bawełnianą czapkę, kłaniał im się aż do ziemi.

— Dość już tego: podawaj! zawołał pan Jan tonem rozkazującym, i chłopak usłuchał natychmiast.

Prosper Desroche dostrzegł nawet, a może mu się zdawało, jakiś znak porozumienia pomiędzy nimi.

Pozytywny Anatol nie uważał na nic. Przypatrywał się w jakim stanie był budynek, meble, zastawa stołu; przekonał się z przyjemnością, że na stole były dobre, ciężkie staroświeckie srebra.

Zasiedli do wieczerzy.

Anatol grymasił; Prosper jadł z największym apetytem i wszystko mu smakowało. Wesoły artysta nie brał się do starego wina, które Anatol ganił, bo mu się tak podobał kwaskowaty cydr jabłeczny, w kraju przyrządzany, że pod wpływem tego napoju, którego sobie nie skąpił, stał się jeszcze bardziej rozmownym i wesołym.

Pan Jan ze smutną miną zaczynał spoglądać na Anatola; zdawało się zato, że go ożywia i pociesza serdeczne usposobienie Prospera.

— Panie artysto, rzekł mimowoli, gdyby ten biedny Mateusz Rousselot żył jeszcze, byłby niezmiernie szczęśliwym, daję słowo, widząc jak się panu domek jego podoba i cieszyłby się, jeśliby

mógł oprowadzić pana wszędzie i wszystkiem się przed panem pochwalić.

— O cóż chodzi! przerwał Prosper; byłeś pan jego przyjacielem, musisz czuć podobnie jak on; zastępujesz go niejako w naszych oczach... A więc, chodźmy panie Janie... wieczerza skończona, dalej w drogę. Pokaż mi wszystko, w najdrobniejszych szczegółach: tak mnie zachwyca to co widzę, że mogę panu zaręczyć naprzód, iż wszystko mi się będzie podobało.

Wziął po przyjacielsku starca pod ramię i odwracając się do Anatola, zapytał:

— A ty idziesz z nami?

— Nie, dziękuję, zmęczony jestem, odpowiedział zagadniony, zresztą, mam tu wprzód jeszcze coś do czynienia.

— Cóż takiego? spytał rządca zmarłego.

— Czyś nam pan nie mówił w drodze — rzekł do Jana — że przeszłego roku zrobiłeś ścisłe wyliczenie dochodów kuzyna Mateusza?

— Rzeczywiście.

— Jako rządca musisz tu pan mieć wszystkie papiery, dowody własności, wszystkie cyfry wartości ziemskiej majątku. Daj mi to wszystko, jeszcze dziś wieczór chcę zrobić obliczenia.

— Lecz...

— Niech to nie przeszkadza waszej wędrówce; idźcie sobie, idźcie; wy będziecie się bawić zielonością i kwiatami, ja papierem stęplowym, co kto lubi!

Starzec na chwilę zdawał się zakłopotanym, potem, jako człowiek, który nagle powziął jakieś postanowienie, rzekł:

— Niech i tak będzie, niech pan raczy pójść za mną.

V.

Pokój do którego stary wprowadził dwoje młodych ludzi, zajmował całe pierwsze piętro w jednej z wieżyczek budynku. Tam właśnie były owe dość kosztowne na pozór firanki.

W rzeczy samej, czy to że kuzyn Mateusz miał artystyczne upodobania, czy może wraz z pałacykiem nabył część sprzętów, dość że ten pokój był tak umeblowany, że nawet w najwygodniejszem z mieszkań paryzkich, dobrzeby wyglądał.

Ściany zdobiły starożytne tkane obicia. Sufit był dębowy, poczerniały z biegiem czasu, z takiegoż drzewa było łóżko z kolumnami, duże ogromne rzeźbione szafy, stół potężny, stołki gotyckie i głębokie fotele pokryte takąż samą materyą, jak obicia na ścianach. Żeby nie posadzka wydeptana i nierówna od długiego użycia, możnaby myśleć że to sypialnia jakiegoś magnata z wieku XVI-go z czasów Karola IX.

— Tam do licha! zawołał Prosper, otóż to meble o jakich marzyłem zawsze i to jeszcze w takiej jak ta, wieżycy, sam ich widok budzi ci w duszy patryarchalne i rycerskie uczucia. Nieprawdaż, mospanie Anatolu?

— Tak, niezłe to, niezłe! potwierdził niedbale zagadniony, zwracając się znowu do pana Jana z niecierpliwem żądaniem papierów.

Posłuszny, milczący, lecz boleśnie dotknięty starzec, otworzył jednę z szaf dębowych i oddał młodemu człowiekowi całą plikę papierów.

— Tu była sypialnia pańskiego kuzyna, rzekł poważnie; tu przed ośmiu dniami oddał ostatnie tchnienie.

— Biedny człowiek! rzekł obojętnie Anatol, siadając wygodnie na fotelu.

Artysta tymczasem odkrył głowę przed łożem o kolumnach, a jakby się odzywał do cienia tego, który przed kilku dniami spoczywał tam jeszcze, wyrzekł z pobożnem wzruszeniem:

— Kuzynie Mateuszu! nie znałem cię; lecz kto posiada podobny pokój w takiej wieżyczce, musi być widocznie wielkim mędrcem, a przytem prawdziwie szczęśliwym człowiekiem. Chociaż mówią żeś był wieśniakiem, lecz ze wszystkiego wnoszę, że byłeś jednym z tych ludzi do których czuję pociąg, i gdybym tu był przyjechał przeszłego roku, pewnym jestem, żebyśmy wkrótce najlepszymi stali się przyjaciółmi.

Możeby Prosper dłużej na głos wypowiadał podobne myśli, lecz go powstrzymało uściśnienie ręki. Obejrzał się żywo, był to pan Jan, ocierający nieznacznie łzę.

— Dziękuję! — rzekł — dziękuję za nieboszczyka.

Potem, starając się wrócić do zwykłego uśmiechu, zawołał:

— Czekam pana, idźmy na przechadzkę, panie artysto!

Anatol tymczasem, cały zatopiony w wyrachowania, robił sobie notatki w pugilaresiku podróżnym:

Stary zamek, ferma z mieszkaniem i przyległościami, przedstawia wartość.	217,000
Przyległa wioska i Pré-aux-Saubes. .	37,000
Suma	254,000

Prosper wzruszył ramionami i wyszedł wraz z panem Janem.

(*D. c. n.*)

Z TEATRZYKÓW.

Gdy „teatrzyki" rozpoczęły swój żywot na bruku warszawskim, spodziewano się ogólnie bardzo wiele dobrego z ich działalności. Sądzono, że one staną się żywym wzorem moralnym dla klas niższych, nieposiadających dosyć środków na częste bywanie w drogich teatrach warszawskich.

Tymczasem zawiodły one te oczekiwania; pp. dyrektorzy stawiają ceny, równające się niemal rządowym, a sztukę i swe powołanie traktują jako dobry interes. Ta gonitwa za rublem musiała naturalnie ujemnie oddziałać nietylko na ogólną opinią o teatrzykach, ale zarazem obniżyła znacznie sam poziom sztuki.

Nie potępiamy tu wszystkich pp. dyrektorów, są wyjątki, ale wogóle reakcya cnoty trwa w teatrzykach tylko tak długo, póki sztuka „robi kasę". Gdy to zawodzi — widzimy natychmiast zmianę frontu i afiszy, zapowiadające operetkę, której wysłuchanie jest możliwe tylko dla mężczyzn w pewnym wieku.

Że nie piszemy tego bez dowodów i faktów, zacytujemy teatrzyk „Nowy Świat". Założyciel i przedsiębierca tego teatrzyku głosił wszystkim i każdemu, że powodowany zamiłowaniem do sztuki, otwiera nowy teatrzyk.

Po kilku przedstawieniach ów przybytek sztuki dramatycznej zamienił się na widownię operetki „Niniche", której sama geneza powinna była ze względów patryotycznych powstrzymać pp. dyrektorów od produkcyi osławionej operetki. Szczęściem bardzo słabe siły artystyczne teatrzyku uniemożliwiły zamiłowanie publiczności w tego rodzaju operetce. Wśród przygodnych aktorów tego teatrzyku wyróżnia się jedynie korzystnie pani Popiel i pan Nowakowski, dzięki którym, operetka Straussa „Wesoła wojna" nie przemieniła się na rozpaczliwą, lecz jedynie na smutną wojnę dysharmonii.

O teatrzyku „Eldorado" wolimy zamilczeć; dotychczas odznacza się on systematycznem wystawianiem t. z. bomb scenicznych, przypominających niemowlęce czasy sztuki.

Towarzystwo poznańskie osiadło w tym roku w „Alhambrze" i niestety, nie cieszy się takiem powodzeniem, jak to dawniej bywało pod dyrekcyą K. Doroszyńskiego. I nic dziwnego, dawny dyrektor posiadał obszerny repertuar sztuk scenicznych, umiał wyszukać autorów dramatycznych i zachęcić do sprzedaży utworów oryginalnych. Dzisiaj widzimy rzeczy tylko ograne albo tłomaczone, nieposiadające wartości artystycznej, a jedynym magnesem jest farsa St. Dobrzańskiego „Wujaszek Alfonsa", polegająca na nagłem zjeździe kilku osób do jednego człowieka i na powstałych ztąd nieporozumieniach. Zbyt kawalerskie a czasami niesmaczne dowcipy psują tę, zresztą wybornie zrobioną farsę, naśladowaną z niemieckiego „Müller und Miller".

Z artystycznych sił tego teatrzyku wyróżniają się korzystnie panie Linkowska i Otrembowa, pp. Linkowski, Hoffman i Jejde, zaś z operetkowych sił tylko panie Kasprowicz i Szürer.

Bezsprzecznie najprzyzwoitszym tak co do traktowania sztuki, doboru artystów i pomieszczenia jest teatrzyk „Belle-vue" przy ulicy Chmielnej, zostający pod dyrekcyą p. Puchniewskiego. Z pomiędzy sztuk nowych tamże granych, należy wymienić: „Kawalera z fiołkami" komedyę Mosera, i „Śmierć cywilną" Giacometti'ego.

„Kawaler z fiołkami" jest to młody oficer ułanów, nadskakujący wszystkim kobietom i zdobywający ich względy kwiatami. Dobry, miły i szlachetny, chociaż lekkomyślny, zakochał się prawdziwie w pięknej wdowie i zostaje jej mężem.

Obok tego kawalera, mamy krótkowidzącego prawnika, nieśmiałego do śmieszności — którego przypadek łączy z ukochaną. Spotykamy wreszcie poczciwą a sentymentalną ciotkę, milutką pannę pułkownikównę i starego żołnierza pana pułkownika. Całość zastosowana do niemieckiego „Militär-staat" jest zabawną komedyą, jednak w naszych stosunkach brak jej gruntu realnego a tem samem nie oddziaływa na publiczność. W komedyi tej odznaczył się bardzo chlubnie p. Śliwiński, który odegrał rolę tytułową z precyzyą i zrozumieniem rzadko spotykanem na scenach prowincyonalnych. P. Śliwiński przy pracy i zamiłowaniu wykształci się bezwątpienia na dzielnego artystę, gdyby tylko zostawał pod dobrym kierunkiem artystycznym. Zaangażowanie p. Sliwińskiego do naszego teatru wypełniłoby lukę, jaką widzimy w rolach kochanków salonowych i charakterystycznych. Jedynymi ich bowiem przedstawicielami są w naszym teatrze pp. Wolski i Prażmowski, a gdy pierwszego zabrakło, musiano go zastąpić p. Turczynowiczem (!?) z wielką szkodą dla sztuki.

Bardzo miłą pokojówką była pani Ignatowska, której talent zasługuje ze wszech miar na uznanie. Piękna postawa, miły organ głosu, elegancya i dystynkcya wyróżniają ją bardzo korzystnie wśród rzeszy zmanierowanych aktorek prowincyonalnych. P. Gloger był pysznym ułanem-ordynansem, to też nie szczędzono mu oklasków. Nieśmiałego prawnika odegrał z wielkiem powodzeniem utalentowany artysta p. Sosnowski. Wreszcie panie Pu-

chniewska i Dzierlińska dopełniały korzystnie całości.

Zrobilibyśmy tylko tę uwagę, że i sam porucznik i salon jego ciotki, jest zbyt elegancki, aby tak ubrani goście bywali przyjmowani, jak np. frakowi panowie w akcie pierwszym.

„Śmierć cywilna” należy do rzędu dramatów tendencyjnych. Bohaterem jest Corado, człowiek skazany na galery, za zabójstwo brata żony.

Zabójstwo to popełnił on w uniesieniu, broniąc porwania swej żony Rozalii. Na wieść o śmierci syna, matka jego żony umiera, a namiętny zabójca dostaje się do dożywotniego więzienia. Żona jego, młoda i piękna, z małą córeczką zostaje bez opieki i środków do życia. Nazwisko męża i ojca jest napiętnowane hańbą, nigdzie ratunku i pomocy nie znajduje — przed sobą ma tylko nędzę. W tej krytycznej chwili zjawia się zacny i szlachetny doktor Arigo Palmieri, który otacza ją swoją opieką, a chcąc umożliwić pobyt tej kobiety w swym domu i biedną sierotę uwolnić od hańby płynącej z zabójstwa i kary ojca — przyjmuje dziecko za własną córkę, a matkę jako guwernantkę.

Rzecz dzieje się we Włoszech, gdzie obowiązywało prawo nierozerwalności małżeństwa, mimo śmierci cywilnej jednego z małżonków, tu np. kara dożywotnia na galerach.

W mieście tem, gdzie mieszka doktor, człowiek wolnomyślny i nieprzyjaciel bigoteryi, żyje ksiądz, Joachim Ruvo, jeden z dawnych i przebrzmiałych zabytków inkwizycyjnych. Nienawidzi on doktora, gdyż jest dla prawowiernych niebezpiecznym; „niedowiarek a cnotliwy, liberalny a kochany i szanowany”, mówi ksiądz o doktorze i postanawia się go pozbyć, rzucając niegodny cień na stosunek doktora z guwernantką.

Nagle, jak deus ex machina zjawia się więzień, były mąż i ojciec, który ucieczką uratował się z twierdzy. Następuje pomiędzy mężem a żoną gwałtowna scena, którą podsyca półsłówkami ksiądz proboszcz. Lecz w końcu zwycięża miłość ojcowska i szlachetność człowieka; dawny więzień kończy samobójstwem umożliwiając tem samem połączenie się doktora z kobietą.

Cały dramat, jak łatwo poznać można z treści, jest wymierzony przeciwko paragrafom prawnym, niedozwalającym zerwania węzła małżeńskiego, mimo nastąpionej śmierci cywilnej i pozbawienia wszelkich praw osobistych i obywatelskich.

W naszych warunkach dramat ten i jego tendencya nie mają tego doniosłego znaczenia, gdyż prawo dozwala na rozwód natychmiastowy po zapadnięciu odpowiedniego wyroku.

Budowa artystyczna samego dramatu jest wadliwą, gdyż akcya polega raczej na opowiadaniu osób działających, aniżeli na działaniu, a wśród osób występujących dominuje tylko jedna postać więźnia Corado, gdy reszta pogrążona jest w cieniu. Wreszcie, jak wogóle każdy dramat tendencyjny, tak i „Śmierć cywilna” razi nieprawdopodobieństwem. To sztuczne nagromadzenie osób w dramacie występujących, rozmyślne użycie barw tylko jaskrawych np. dla księdza czarnych jak piekło a dla innych jasnych jak niebo, uganianie się za efektami scenicznemi, a szczególniej brak realizmu — oto wady dramatu, którego zręczne dyalogowanie, ognisty język i wykończona *con amore* postać więźnia, stanowią znów zalety.

Przyznajemy, że idąc na to przedstawienie, szliśmy z pewnem uprzedzeniem; scena prowincyonalna — i poważny dramat — ogródek i śmierć tragiczna — te kontrasta nas niepokoiły. Tymczasem wykonanie dramatu sprawiło nam miłą niespodziankę — było w całem słowa znaczeniu dobrem. Główną zasługę przypisać należy p. Rügerowi, który rolę więźnia odtworzył bardzo dobrze, imponował deklamacyą i zręcznem użyciem efektów scenicznych. Zarzucilibyśmy mu tylko brak modulacyi głosu i zbyt jednostajne ruchy rękami. P. Popławski w roli księdza stanął na stanowisku artystycznem i niemal bez zarzutu odtworzył tę postać.

Niemniej dzielnie dopomagali do dobrego wykonania utworu pani Sochaczewska i p. Śliwiński. Jedna tylko panna Dzierlińska psuła efekt i grę innym artystom, bezbarwnem i niesmacznem odtworzeniem wdzięcznej roli Emmy.

A. G.

KORESPONDENCYA
Z EGIPTU.

Negadeh w Czerwcu 1882 r.

W niebardzo wesołem usposobieniu biorę dziś za pióro, aby wam donieść nieco nowego z tutejszych okolic, sprawy Egiptu bowiem bardzo źle idą i kto wie jeszcze jak się one zakończą. Europejczycy tłumnie kraj opuszczają, ostatnie bowiem wypadki w Aleksandryi, gdzie kilkadziesiąt osób z kolonii eurepejskiej padło ofiarą fanatyzmu mohamedan, przejęły wszystkich nadzwyczajną trwogą. Tutaj u nas na południu głuche wieści o mordach w Aleksandryi rozjątrzyły fanatyzm mieszkańców, tak że nieliczni chrześcianie Kopci i kilku europejczyków oczekują co chwila podobnego losu.

O nadużyciach baszów i innych urzędników mógłbym wam tomy pisać, a nasz gubernator, o którego sprawiedliwości podałem wam małą próbkę w mej ostatniej korespondencyi, odznacza się przed innymi niezwykłą zaciętością i nienawiścią ku chrześcianom. Kopci tutejsi w ogromnej trwodze zgromadzają się nocami po ich ubogich kościołkach modląc się i prosząc Pana o odwrócenie od nich zbliżającej się katastrofy.

Od początku tego roku zdaje się jakby jakieś nieszczęście nad całym krajem zawisło. Najprzód bowiem zeszłoroczny skąpy wylew Nilu nie dozwolił obsiać wszystkich gruntów, następnie niesłychanie palące wiatry przeraziły plony, tak że zbiory zboża nieszczególnie wypadły; do tego od kilku tygodni grasuje straszliwy pomór na bydło, szczególniej w naszej prowincyi, a co najgorsza, to brak wody w Nilu. Nie do uwierzenia, że owa olbrzymia rzeka zdaje się od kilku miesięcy w oczach wysychać; ludzie wbród ją przechodzą i nietylko lekkie parostatki pocztowe ale nawet i mniejsze okręty przestały już oddawna kursować z powodu nadzwyczajnej płytkości wody, która nawet do picia niezdatną się staje, sprawia bowiem dyzenteryą i inne choroby. Jeżeli do tych wszystkich klęsk dodamy jeszcze smutne stosunki polityczne, to doprawdy strach pomyśléć co za fatalna przyszłość przed tym krajem się otwiera.

Według kilku uczonych imanów, wszystkie te nieszczęścia zesłał Ałłah z powodu europejczyków, którzy zapanowawszy nad Egiptem, poniewierają wiarą Proroka i jego wyznawcami. Najwidoczniejszym zaś dowodem gniewu Ałłaha i wskazówką dla Mohometan było zaćmienie słońca, którego oni tutaj, jak utrzymują, jeszcze od najścia Francuzów nigdy nie widzieli.

Według prywatnych wiadomości z Sudanu (gazety arabskie bowiem milczą jak zaklęte) dowiaduję się iż tam także panują ogromne zaburzenia i niepokoje a to z powodu pojawienia się fałszywego proroka (Muhdi), który mieczem i ogniem zmusza ludność do uwierzenia w jego posłannictwo i przyjęcia islamu. Kilku Koptów szukających tutaj schronienia, opowiadało mi że wielu z ich współbraci oraz kilku europejczyków dla uratowania życia przeszło na wiarę Proroka.

Lecz kończę już na dzisiaj, bo doprawdy patrząc z blizka na tutejsze stosunki i żyjąc w ciągłej niepewności, nie ma się nawet wielkiej ochoty do pisania, ot źle, bardzo źle idzie i w Bogu tylko nadzieja że się to odmieni.

Stefan Marusieński.

NASZA KRYTYKA.

(Dokończenie.)

Jak zaś krytyki nasze są gruntowne to najlepiej udowodnić mogą rozbiory odczytu p. Kraushara *O dawnej palestrze* (w Marcu r. b.), pomieszczone w „Tygodniku Illustrowanym”, „Kłosach”, „Gazecie Polskiej”, Kuryerach i t. d., wynoszące pod niebiosa ten odczyt, w którym powiedziane było wszystko i o wszystkiem tylko nie o dawnej palestrze. Na okoliczność tę słusznie też zwrócił uwagę „Przegląd Tygodniowy” i „Przegląd Bibliograficzno-Archeologiczny” pomieszczając wyczerpujący rozbiór p. Ernesta Swieżawskiego, i nakoniec niniejszy „Tygodnik Mód” (Nr. 11 str. 126). W tym razie krytycy nasi—z wyjątkiem trzech—uderzyli jakby jednomyślnie w surmę pochwalną—co rzeczą jest nader rzadką i w naszym piśmiennictwie wcale niezwykłą. Czy krytyki te były sumienne, napisane ze znajomością rzeczy — to wykazał p. Ernest Swieżawski, który, zbijając punkt po punkcie, nie tylko twierdzenia p. Kraushara, lecz nadto i krytyków — z historyą w ręku udowodnił, że tak pochlebnie krytykowany odczyt nic nie opiewał o dawnej palestrze i że słuchacze po odczycie tak samo o niej nic nie wiedzieli jak i przedtem.

Ten hymn pochwalny zaintonowany przez naszą krytykę, był jednym z licznych objawów: *wzajemnej adoracyi*, o której już poprzednio mówiliśmy. Obok takiej krytyki, mamy jeszcze i inną, jak to nas nauczają kwietniowy i majowy poszyt „Biblioteki Warszawskiej”, gdzie w poszycie za kwiecień r. b. na str. 141 — 146 czytamy przez p. Kazim. Kaszewskiego sumiennie nakreślony rozbiór: Zofii Rudnickiej: *Obrazki z życia i natury.* Rozbiór ten wykazuje wady tej pracy lecz i odsłania zalety, które o wiele są większe od wytkniętych wad. „*Plon skromny*, mówi szanowny krytyk, *ździebełko, lecz nie bez wartości rzeczywistej, tak ze względu na myśl jako i na formę. Wszystko zaleca się stylem łatwym i obrobieniem poczytnem; nie do pochwalenia jednak w tym stylu jest powłoka prowincyonalna, nadająca utworom pewną odrębność językową, nie zawsze zgodną z duchem mowy wyborowej.*” W poszycie za maj tejże samej „Biblioteki Warszawskiej” na str. 309 — 312, czytamy ponownie krytykę tychże samych „Obrazków z ży-

cia i natury", nakreśloną przez p. R. B., a który, konkludując swój rozbiór tak powiada: *„Ogólną cechą „Obrazków z życia i natury" jest uderzające sprzeciwieństwo formy z treścią...* dalej zaś... *Otóż powiedzieć możemy, że pomimo pewnego braku artystycznej formy „Obrazki" p. Z. R. podobać się mogą a po części na to zasługują."*. Czyż wobec zestawienia tych dwóch krytyk, pomieszczonych w „Bibliotece Warszawskiej" i to o jednym i tym samym przedmiocie — nie zapytamy się: komu tu wierzyć? który z tych dwóch krytyków jest sumiennym i prawdziwie znającym się na rzeczy? Że p. R. B. jest innego zdania, nic przeciw temu nie mamy, owszem byłoby nawet śmiesznością żądać, aby miał te same poglądy co i p. Kaszewski, z którym, co do nas, w zupełności się zgadzamy, — lecz pojąć nie możemy, jak Redakcya „Biblioteki Warszawskiej", pisma tak poważnego, tak zasłużonego, mogła pomieścić dwie krytyki o jednym i tym samym dziele tak sprzeczne w poglądach swoich? Jest to błąd tem większy — bo udowadniający iż Redakcya nie ma swego własnego zdania i nie wie co i jak piszą jej współpracownicy!

Objaw to smutny lecz prawdziwy! A takich objawów mamy co niemiara na każdym kroku, i dlatego też pytamy czy mamy krytykę? i jaką jest ta krytyka?

***

NOWE WYDAWNICTWA.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt 7-y tomu II-go i zawiera: Chemia przez A. M.; Chiny przez J. A. Święcickiego; Chojnacki; Choroby wogóle przez B. Lutostańskiego; Chrzeptowicz przez P. Chmielowskiego. Encyklopedya wychodzi w zeszytach pięcioarkuszowych, każdy zeszyt kosztuje kop. 40, z przesyłką kop. 50. Tom pierwszy rs. 4, z przesyłką rs. 4 kop. 60.

Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich: wyszedł zeszyt XXXI tomu 3-go i rozpoczyna się od Jasionki, wsi w Krośnieńskiem, do folwarku Jelonka w pow. Poznańskim. Co miesiąc wychodzi zeszyt i każdy na miejscu kosztuje kop. 50.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** „Schronienie dla nauczycielek prywatnych w Warszawie" zostało nareszcie zatwierdzone przez rząd. Zawiązek jego istnieje w Warszawie już od lat dwóch, co jednak mało komu wiadomem było. Jest to schronienie dla wysłużonych nauczycielek, dla tych cichych i wytrwałych pracownic co życie całe wpajały w dzieci polskie to co jest najdroższem i najważniejszem dla człowieka— wiedzę i moralność; które przez życie całe tułają się co raz po innych cudzych domach, a na starość najczęściej nawet i cudzego dachu nie mają nad głową. Schronienie to zawdzięcza byt swój głównie pannie Agnieszce Helwichównie, która na utworzenie go przeznaczyła cały swój fundusik zebrany z ciężkiej pracy nauczycielskiej, składając go do rąk zaszczytnie znanego z gorliwości o dobro ogółu JX. Zygmunta Chełmickiego. Czcigodny kapłan zwrócił się do serc litościwych i wyprosił jednorazowe zasiłki lub składki, z pomocą których zakład mógł powstać i jako tako istnieć. Mieści się on przy ulicy Żórawiej, w odpowiednio urządzonym lokalu i liczy obecnie 10 pensyonarek na koszcie zakładu i dwie na koszcie własnym. Zakład, prócz pokoi mieszkalnych dla pensyonarek, obejmuje: bibliotekę, łazienkę i kuchnię; niezadługo ma być w nim urządzona apteczka a gdy będzie można przenieść się do większego lokalu, i kapliczka domowa.

Szlachetny cel zakładu nadaje mu prawo do poparcia ogółu. Polecamy go Czytelniczkom naszym. Ileż to tych zasłużonych pracownic, po długoletniej a zawsze niemal źle wynagradzanej pracy, nie ma się gdzie podziać na starość! Jedne z ich uczenic zajmują nieraz wyższe stanowiska, inne mają zapewniony dostatek, własne domy i rodziny; wszystkie one mają święty obowiązek przychodzić z pomocą tym, które kształciły ich serca i umysł — żywimy też nadzieję, że potrafią godnie mu odpowiedzieć i zakład z ufnością na ich poparcie liczyć może.

*** W uniwersytecie londyńskim dwie kobiety uzyskały stopnie *doktorek umiejętności* a dziewięć stopnie tak zwane *maîtresse ès arts* i uroczyście wręczono im togi i berety doktorskie. Równie zaszczytną a bezspornie pożyteczniejszą drogę niż prace nad klasykami, obrała sobie miss Ormerod, którą Towarzystwo rolnicze Wielkiej Brytanii mianowało *profesorem nauk entomologicznych*. Dzięki swej wytrwałości i niezmordowanej pracy, miss Ormerod zdołała wynaleźć środek na wytępienie pewnych skrzydlatych owadów, niszczących w całem niemal królestwie całe pola podługowatej rzepy, tak niezbędnej do przeżywienia bydła w ciągu zimy. Byt fermierów hrabstwa Norfolk zależy głównie od zbioru tej jarzyny, w którą zaopatrują niemal cały kraj, to też zagrożeni byli ruiną, gdyby nie pomoc miss Ormerod, która przybyła im na ratunek. Niszczący ten owad zgubną swą pracę dokonywa ze świtem, i miss Ormerod nieraz całe noce spędzać musiała w polu, aby badać jego naturę i zwyczaje. W sprawozdaniu swojem pisze: „Ze świtaniem widziałam na całem polu jakby poruszającą się chmurę lub kłęby pary, sprawiające chwilowo złudzenie jakby podnoszącego się gruntu. W początkach badań moich przyprawiało mnie to prawie o morską chorobę." Niezmordowana miss Ormerod nie zaznała spoczynku dopokąd nie wynalazła zbawiennego środka na wygubienie niszczycieli, i dzięki jej usiłowaniom, dziś całe hrabstwo Norfolk zostało oswobodzone od tej plagi. Fermierzy ofiarowali jej złoty medal i otaczają ją czcią i wdzięcznością jakby świętą swoją patronkę.

Druga Angielka, miss Marianna North, obrała sobie zawód odmienny ale równie pożyteczny. Odbyła podróż na około świata, od wschodu na zachód, za poszukiwaniem dzikich kwiatów, pierwotypów rodzin znanych w Europie. Niestrudzona podróżniczka zebrała tysiące okazów w lasach na równinach i górach wszystkich krajów świata i powróciła ze swej podróży obładowana szczątkami botanicznemi przedstawiającemi tajemnice pierwotnego świata, że tak powiem pierwsze gaworzenie przyrody. Tę nieocenioną kolekcyą miss North darowała krajowi, a nie ufając rządowi czy tenże zajmie się gorliwie odpowiedniem pomieszczeniem tych okazów roślin i rysunków, wybudowała własnym kosztem na ten cel piękną galeryę w ogrodzie botanicznym w Kew. Otwarcie publiczne tej galeryi miało miejsce przed trzema tygodniami i daleko głośniej i silniej przemawia ono za emancypacyą kobiet, niż rozhukane wrzaski i ruchy deklamatorek, wykrzykujących swoje domagania się na konferencyach i w artykułach drukowanych. Przypatrując się tej godnej podziwienia kolekcyi, czyniącej dostępnemi dla uczonych skarby botaniczne wszechświata, które mogą badać nie wstając z foteli, mimowolnie przychodzą na myśl straszne trudy i niebezpieczeństwa, jakie przebyć musiała ta mężna apostołka nauki, w dzikich krajach, w których zdobyła te trofea. Oprócz krajowców liczni cudzoziemcy przybywają zwiedzać galeryę miss North, obok której znajduje się sala mieszcząca w sobie wszelkie niezbędne do nauki botaniki dzieła, rysunki i przyrządy.

*** Przychodzi nam podać dziś jeszcze jeden fakt odnoszący się do kobiet — jak dotąd pierwszy w swoim rodzaju. W Stanach Zjednoczonych, w Costa-Rica, wybrana została przez mężów stanu tej rzeczypospolitej na ambasadora w Washingtonie pani Beatrice, urodzona w Alabama ale zamieszkała stale od pewnego czasu w Costa-Rica. Jeźli prawdą jest, jak to prawie stało się przysłowiem, że „dyplomacya jest to tkanina kłamstw i fałszów", to bodajby nie znalazła się ani jedna kobieta zdolna do tego zawodu!

*** Urzędowa statystyka japońska wykazuje, że w roku 1880 wyszło w Japonii 3,790 druków, a w zeszłym 4,910. Druki te dzielą się jak następuje: książki szkolne 704, poezya 556, polityka 546, handel 113, matematyka 107, etyka 93, reszta treści religijnej. Nadto w ciągu roku powstało przytem 148 publikacyi peryodycznych, z których jednak utrzymało się tylko 34. Przekładów ukazało się najwięcej z dzieł angielskich i francuzkich; pomiędzy ich autorami znajduje się nazwisko Klaczki, którego artykuły przekładają z francuzkiego języka, coraz więcej rozpowszechniającego się w Japonii.

*** W jednym z ostatnich zeszytów „Revue de droit International" mieści się ciekawy artykuł d-ra Martin o śladach prawa międzynarodowego, jakie obowiązywało w starożytnych Chinach. Dr. Martin jest Amerykaninem, ale od lat już 30 mieszka w państwie niebieskiem i zna doskonale urządzenia polityczne, literaturę i historyą Chin. Od r. 1868 przewodniczy w *Tungmen Colegium* w Pekinie; w zakładzie tym synowie mandarynów i dygnitarzy przysposabiają się do wyższych zajęć państwowych i służby dyplomatycznej.

Według p. Martin, w starożytnych Chinach istniały pojęcia o prawie międzynarodowem, czego dowodem liczne cytaty w dziełach traktujących wyłącznie prawo międzynarodowe. Chiny starożytne były państwem czysto feudalnem i składały się z 12-tu większych państw obejmujących znaczną liczbę księstw połączonych z sobą wspólnością interesów i wspólnie hołdujących cesarstwu. Władzę zwierzchnią nad połączonemi państwami piastował cesarz i zarazem prawodawca. Składano mu hołdy i otaczano wysoką czcią, ale w rzeczywistości ograniczała się ona na spełnianiu ceremonialnych obrzędów, zajmujących mu wszystkie dnia godziny. Prawo międzynarodowe w Chinach rozwijało się na podstawie feudalnych stosunków, łączących owe 12 państw i liczne księstwa, a książęta zjeżdżali się często na narady, będące rodzajem dzisiejszych kongresów i konferencyi. Międzypaństwowe sprawy polityczne i handlowe załatwiano przez posłów, przedstawicieli tychże państw. Nietykalność posłów zapewniona była więcej zda-

je się w teoryi niż w rzeczywistości, gdyż nieraz zabijano ich pod pozorem że są szpiegami; uważano to jednak za nadużycie dające prawny powód do wypowiedzenia nieuniknionej wojny.

W starożytnych Chinach zawierano międzynarodowe traktaty, regulujące wszelkie interesa wspólne wszystkim państwom i księztwom. W roku 544 przed Chrystusem, książę Tcheng zawarł z sąsiadami następujący traktak. 1) Wywóz zboża może odbywać się bez żadnej przeszkody. 2) Wszystkim państwom i księztwom przysługuje równe prawo użytkowania ze wszystkich rzek i gór. 3) Zapewnia się wzajemne wydawanie zbiegów i zbrodniarzy. 4) W czasie głodu państwa będą wspomagać się wzajemnie. 5) W razie rewolucyi w któremś z państw, inne obowiązane są śpieszyć z pomocą panującemu. 6) Państwa sprzymierzone wzajemnych przyjaciół i wrogów uważają za wspólnych sobie i obowiązane są bronić cesarza, domu jego i rodziny. Oto formuła przysięgi wykonanej na dotrzymanie powyższego traktatu:

„Przysięgamy wiernie i niezmiennie dochowywać i przestrzegać naszej ugody, a świadkami tej naszej przysięgi niech będą: bogowie gór i rzek, duchy cesarzów i umarłych książąt, przodkowie naszych siedmiu familii i naszych dwunastu państw. Kto przysięgę te złamię lub naruszy, niech go ukarzą wszystko wiedzący bogowie, niech umrze i niech wyginie jego pokolenie."

Widzimy z tego, że starożytni Chińczycy mieli już pewne pojęcia o prawie międzynarodowem; wielu z ich pisarzy a szczególniej Konfucyusz, pozostawili wiele moralnych przepisów odnoszących się do stosunków międzynarodowych, bardzo zbliżonych do pojęć nowoczesnych.

*** W pobliżu wielkiego jeziora Huron, położonego między Kanadą a Stanami Zjednoczonemi, każdej zimy, gdy lód jest już dość gruby, można zobaczyć jedyne w swoim rodzaju miasto z lodu, wzniesione przez rybaków. Ciekawy ten gród zwiedzają zwykle tłumy ciekawych. Leży on o dziesięć mil od Bay City, a część od ujścia Saginan i brzegów jeziora Huron, wśród olbrzymiego lodowiska zatoki Saginan. W ciągu przeszłorocznej zimy, lodowe to miasto składało się ze 130 domów, liczących 500 mieszkańców. Domy zbudowane z pował lodowych, z dachami pochyłemi, osadzone są na kółkach, co dozwala przesuwać je z łatwością z jednego miejsca na drugie. W domach tych nie ma prawie nic prócz narzędzi kuchennych, hamaków, pieców i składów do przechowywania zapasów żywności. Każdy dom taki zamieszkuje 3 lub 4 osoby pracujące wspólnie; jeźli połów jest pomyślny, zarobek ich jest dość znaczny.

Połów odbywa się wewnątrz domów. Na środku chaty przebija się w lodzie otwór mający 3 do 4 stóp kwadratowych przestrzeni; następnie jeden z rybaków uwiązuje żywego śledzia na sznurku i puszcza go w wodę. Sądząc się wolnym, śledź pływa i zanurza się w wodę, dopokąd sznurek nie da mu uczuć więzów, wtedy nader szybko wraca do otworu. Za powracającym tak śledziem, ugania się chmara ryb żarłocznych, szczupaków, pstrągów i w. i. polujących na zdobycz, które podpływają aż ku powierzchni wody. Na zapalczywych tych żarłoków czatują rybacy zbrojni we włócznie lub harpony o czterech hakach, nieruchomi, milcząc wpatrują się przez otwór w wodę, i w każdą ukazującą się rybę zabójczy wymierzają grot, poczem wyciągają na lodową powałę chaty. Zatoka Saginay obfituje w ryby najróżnorodniejsze, więc rybacy dużo mają pracy, ale zato często w każdym domku zarabiają wiele, ponieważ połów przynosi im często po pareset sztuk ryb dziennie.

Jeźli zmniejsza się ilość ryb czyhających na zgubę biednego śledzia, gdy zaczynają oddalać się od otworu, rybacy przesuwają przenośne swe domy w inną stronę zatoki, gdzie dalej prowadzą połów przy pochodniach tymże samym sposobem aż do późnej nocy.

Ciekawy i niezwykły widok przedstawia to miasto lodowe, szczególniej wieczorem, gdy migotliwe światło pochodni oświeca czarne postacie rybaków, pochilonych po nad brzegiem otworów lodowych, w milczeniu i z posągową nieruchomością, i tak wyczekujących na zdobycz, pewną ręką rzucających harpony i z zadziwiającą zręcznością chwytających na nie ryby. To też po drodze wiodącej z Bay City do lodowego miasta, przesuwają się nieustannie tłumy pasażerów, podążających ze wszech stron, jużto przez ciekawość, już dla interesów, do tej kolonii, jedynej w swoim rodzaju nietylko w Ameryce, ale i na całym świecie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Stefanuwi Że. u. g. w Kielcach. Na listy odpowiedziano już w „Przyjacielu Dzieci", prosimy więc przejrzéć ostatnie numera tego Pisma. Dla braku adresu, listu do Kielc nie można było przesłać, za pośrednictwem więc „Tygodnika Mód" donosimy, że obraz dramatyczny p. t. „Barbara Giżanka", pod względem formy ma swoje zalety, są nawet w nim miejsca z polotem prawdziwie poetycznym, dobrze świadczące o zdolności Autora, ale treść zbyt drażliwa a układ całego dramatu nie odpowiada koniecznym warunkom utworów tego rodzaju.

Zawiadomienia.

ZAKŁAD
NAUKOWO-RĘKODZIELNICZY

pod kierownictwem

NATALII SMÓLSKIEJ,

przy ulicy S-to Krzyzkiej Nr. 19.

Przyjmuje uczenice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, wiadomość o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedyńczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

CZAS TRWANIA I SPOSÓB OPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2 (miesięcy 6).

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

Kupiectwo: Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6), a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczenicy.

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedyńczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry.

Krój sukien	miesięcy	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane		
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3
do rzemiosł	„	6
Jedwabnictwo	„	6

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
Przygotowanie do Korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 7 Іюля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 29, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

— Czy mógłbyś, sir Karolu, dać na to słowo, że nie wiesz nic o pobycie Salter'a w Foxwood?

— Ręczę honorem że nie wiem tego, a nawet jestem prawie pewnym że tak nie jest.

Mówił to szczerze, gdyż w ciągu tej rozmowy nabrał przekonania że podejrzenia jego były mylne, bo jakimże innym sposobem można było wytłomaczyć to sobie że Tatton nie aresztował Smith'a, gdyby Smith był Salter'em.

— A jednak Salter *tam jest*, rzekł ajent—a Karol słysząc tak stanowcze twierdzenie spojrzał na niego z zadziwieniem — odebraliśmy od Tatton'a zapewnienie że trafił już na jego ślady. Nie mogę jednak zapewnić czy go widział. W pierwszym i drugim tygodniu nie znalazł najlżejszej poszlaki; ale następnie nieprzewidziany wypadek wprowadził go na trop, i dziś zna już kryjówkę tego człowieka.

— A więc czemuż go nie aresztuje? zawołał Karol, któremu znów przyszło na myśl, że w takim razie Smith mógłby być Salter'em.

— Jest to kwestya czasu, sir Karolu. Skoro czeka to musi mieć do tego ważne powody. Inna rzecz wiedzieć gdzie się zwierzyna ukrywa, a inna ją schwytać. Zbytnim pośpiechem można zepsuć najlepszy interes.

— Z tego wszystkiego muszę wnosić że Tatton nie tak prędko opuści Foxwood.

— Z pewnością nie przed pochwyceniem Salter'a.

Serce Karola ścisnęło się na tę wiadomość. Tatton opóźniając się z pochwyceniem Smith'a, mógł trafić na ślad innego zbiega — Adama Andinnian. Kto wie czy już nawet nań nie natrafił i zwleka dla tego jedynie aby pochwycić razem dwóch przestępców.

Zadał jeszcze jedno pytanie:

— Panie Burtenshaw, dla czego podejrzenia zwróciły się na Foxwood?

— Po drugiej twojej, sir, bytności u mnie, Grimley wyobraził sobie że sam, sir Karolu domyślasz się obecności Salter'a w Foxwood; że masz częste stosunki z osobą którą bierzesz za Salter'a, nie będąc jednak tego pewnym, a z tego wyprowadził wniosek, że ta osoba musi mieszkać w Foxwood, lub blizko niego.

— Tak, Karol widział teraz jasno że to *on sam* był twórcą tak groźnego położenia, że sam ściągnął nowe niebezpieczeństwo na głowę swego nieszczęśliwego brata, dla ocalenia którego oddałby chętnie życie.

Nie potrzebował pytać o nic więcej pana Burtenshaw, dowiedziawszy się już wszystkiego co pragnął wiedzieć, pożegnał go więc, i tegoż jeszcze wieczora powrócił do Foxwood daleko niespokojniejszy jak przed tem.

VIII.

Znów Kettle-drum.

W domu mistress Jinks panował ruch wielki. Urządzono *Kettle-drum* na wielką skalę pod przewodnictwem obydwóch pasterzy; przybyło na niego więcej osób niż mogło pomieścić się w pokoju; prócz wszystkich owieczek z Foxwood, przybywające z Basham przepełniły dwa omnibusy.

Pan Enen siedział w swoim pokoju na drewnianym stołku, na którym mistress Jinks stawiała balię do prania. Pożyczył znów wszystkich swych krzeseł, i mistress Jinks przyniosła mu w ich miejsce drewniany stołek o trzech nogach. Z początku bawiły go te gwarne zgromadzenia tuż nad głową, ale teraz nużył go już ten hałas i zamięszanie. Pokój jego drżał za każdem silniejszem zapukaniem do drzwi, a rozmowa dochodziła go tak wyraźnie jakby znajdował się w tym samym pokoju. Jednak sam widok przysmaków które przynoszono co chwila na tę uroczystość, stanowił pewną rozrywkę w samotnem życiu pana Enen. Częstowanie gości nie należało bynajmniej do pana Cattacomb, trzódka jego sama o tem myślała. Nie brakowało nigdy przysmaków, a od przybycia pana Puff, obfitość ich wzrosła jeszcze. Przyczyniało się to wiele do uprzyjemnienia czasu gościom, ale mistress Jinks wprawiało w najgorszy humor.

Siedząc przy oknie na swym drewnianym stołku pan Enen rachował dla rozrywki wszystkie przysmaki które przynoszono. Pełen koszyk muffinsów, jedenaście gatunków galaret i tyleż konfitur— odkąd dostrzeżono że wielebny Gwidon lubi słodycze, dostarczano mu ich zawsze obficie, — trzynaście gatunków sucharków, kilka tac ciastek, słoiki z marmoladą i miodem, piękne owoce, kremy, pomarańcze, kwiaty...

Panu Enen sprzykrzyło się w końcu patrzeć i rachować; ciągły hałas doprowadził go już do bólu głowy, oczy znużyły się widokiem różnokolorowych toalet dam które zaczynały gromadzić się tłumnie.

Pan Cattacomb, kilka dni temu, obudził lekkie niezadowolnienie w swych owieczkach. Spotkano parę razy młodego pastora przechadzającego się w towarzystwie Żeminy, najmłodszej córki pana Moore, a na ostatniem u niego zebraniu, zdawało się obecnym paniom, że rozmyślnie posadził ją obok siebie. Obraziły się tem; wszystkie go uwielbiały więc nie powinien żadnej dawać pierwszeństwa nad innemi; w przeciwnym razie straci swą popularność. Pan Cattacomb ostrzeżony przez miss Blake że ściągnął na siebie niechęć swych owieczek, zaręczył że to było dziełem prostego przypadku, że zaledwie umiałby powiedzieć która z panien Moore nosi imię Żemina, i pokój został zawarty, a *Kettle-drum* był jego następstwem.

— Mam nadzieję że dostanę przecie dziś mój kotlet, mistress Jinks, rzekł pan Enen, gdy wdowa czerwona i zadyszana ze zmęczenia przyszła prosić go o pożyczenie szczypczyków od cukru.

— O! bez wątpienia... tylko może kilka minut później, ale mam nadzieję że mi pan zechce to wybaczyć, widząc że tamci o mało że mnie nie zamęczą!...

— Tak, widzę że goście schodzą się ciągle.

— A! schodzą się, schodzą! zawołała mistress Jinks, z gniewem. Nie wiem doprawdy jak się to wszystko wpakuje do pokoju! Będę zmuszona pożyczyć ławki z sąsiedniej szkółki i postawić ją w korytarzu, a jak im i tego będzie za mało, to niechże sobie stoją. Nigdy już póki życia nie wynajmę mieszkania młodemu duchownemu, dopóki mi nie przyrzecze że nie będzie wydawał jakichś tam *kettle-drum'ów*.

— Zdaje mi się że te panie lubią podobne zebrania skoro je urządzają tak często.

— To wszystko warjatki! Czy nie byłoby lepiej gdyby pozwoliły mu wypić spokojnie herbatę i napisać kazanie... których z pewnością nie pisze, bo mu na to nie pozostawiają ani chwilki czasu. Gdyby im się przynajmniej chciało wyciągnąć rękę do klamki i otworzyć sobie, nie musiałabym biegać ciągle do drzwi, ale nie... Powiedziałam to raz pannom Saint-Henry, gdy mnie sześć razy oderwano od roboty, ale odrzekły mi na to że nie weszłyby za nic w świecie do pana Kattkin nie zapukawszy przedtem.

— No! trudno im się dziwić, odpowiedział pan Enen.

— Znów słychać dzwonek! Czy go tam licho trzęsie!... Te ich *kettle-drums* to prawdziwa męczarnia dla mnie; wzięłam już do pomocy Betzey Chaffen i młodą dziewczynę i wszystkie trzy mamy tyle roboty że zaledwie możemy podołać. Ale panu twardo siedzieć na tym stołku, dodała z ubolewaniem.

— Co prawda, nie mógłbym powiedzieć że siedzę na puchu; ale lubię zrobić komuś dogodność, a zresztą wyjdę niedługo. Proszę mi przynieść herbatę i kotlet, jak tylko będzie można.

Taca stała jeszcze przed panem Enen, gdy wszyscy goście pana Cattacomb udali się na popołudniowe nabożeństwo. Dwaj wielebni szli obok siebie przodem, a kilka kroków za nimi postępowała miss Blake wiodąc za sobą orszak pobożnych. Ciekawi stali we drzwiach i oknach przyglądając się przechodzącym.

Pan Enen wyjrzał także oknem i przyszła mu ochota pójść za nimi, tym więcej że dotąd nie był jeszcze w kaplicy. Zbliżywszy się do niej roześmiał się mimowolnie, zobaczywszy Toma Pepp w białej śpiczastej czapce z czerwonemi obszlegami, i w białem długiem odzieniu z czerwonym krzyżem na plecach. Stał przy drzwiach trzymając sznur od dzwonka, który miał się odzywać w pewnych chwilach nabożeństwa. Tu musimy oświadczyć nie chcąc obrazić kogoś z gorliwych zwolenników reform zaprowadzonych w kościele — że w kaplicy nie odbywały się nabożeństwa na wzór jakichbądź innych, ale według rytuału ułożonego przez samego pana Cattacomb, stosującego się jedynie do swej fantazyi.

Pan Enen, stojący obok Toma Pepp, mógł widzieć dokładnie wszystko co się działo wewnątrz kaplicy, ale i wymyślone nabożeństwo nie podobało mu się wcale, i raziła go przesada którą były nacechowane wszystkie ruchy i spojrzenia obu duchownych.

Zaraz po nabożeństwie całe zgromadzenie rozpierzchło się na wszystkie strony, a w kaplicy zostało tylko kilka osób, wśród których znajdowała się i Żemina Moore. Damon Puff oddalił się, pan Cattacomb pozostał.

Zaczęło się już ściemniać. Pociąg z Londynu przybył właśnie, i kilku podróżnych wysiadło na stacyi. Jeden z nich puścił się szybko drogą do Foxwood, jakby chciał jak najprędzej przybyć do domu. Był to Karol Andinnian, który po rozmowie z panem Burtenshaw, wracał jeszcze smutniejszy i bardziej przygnębiony.

Tąż samą drogą szedł także pan Enen. Wiedział dobrze iż większa część osób znajdujących się w kaplicy pójdzie gościńcem wiodącym do wsi, i może dla tego właśnie wybrał inną drogę. Zresztą któż może odgadnąć zamiary pana Enen? to jedynie pewna że teraz przechadzał się prawie codzień po tej drodze, z cygarem w ustach, jak tylko mrok zapadł.

Karol zbliżał się już do Labiryntu gdy na zawrocie drogi spotkał się oko w oko z jakimś przechodniem palącym cygaro, który odwrócił natychmiast głowę, i chciał go ominąć, lecz Karol się zatrzymał poznawszy pana Enen, gdyż już wracając z Londynu postanowił z nim pomówić.

— Przepraszam. Zdaje mi się że pan Tatton.

Niezawodnie pan Tatton musiał się zadziwić usłyszawszy tak niespodziewanie swoje właściwe nazwisko, jednak nie dał tego poznać po sobie.

— Tak jest, panie, odpowiedział natychmiast wyjmując z ust cygaro.

— Pragnę pomówić z panem, odezwał się znów Karol; może więc lepiej uczynić to zaraz, nie odkładając na później.

— Z pewnością lepiej zaraz; nie ma nic lepszego nad teraźniejszość. Jest to jedyna rzecz na którą można rachować z pewnością.

— Sądzę że panu wiadomo kto jestem, panie Tatton?

— Sir Karol Andinnian, jeżeli się nie mylę, odpowiedział ajent rzucając cygaro.

Sir Karol odpowiedział tylko skinieniem głowy. Oddałby chętnie połowę życia, gdyby mu powiedziano z pewnością ozy ten człowiek wie lub nie, że on nieprawnie nosi ten tytuł.

— Wracam właśnie z Londynu, mówił dalej Karol, gdzie widziałem się z panem Burtenshaw. Dowiedziawszy się przypadkiem że pan przebywasz w Foxwood, chciałem zasięgnąć wiadomości czy bawisz tu pan w celu wynalezienia niejakiego Filipa Salter; i przekonałem się że tak jest w istocie.

Ajent milczał. Zdaje się że nie wiedział o ile może zaufać sir Karolowi, który też odgadł znaczenie tego milczenia.

— Możemy z sobą mówić śmiało, panie Tatton. Gdyby nie ja, nie przysłanoby cię obecnie do Foxwood, gdyż jedynie moje pytania dotyczące Salter'a obudziły podejrzenie w Scotland-Yard.

— Wiem o tem, sir Karolu, i co prawda byłbym już dawno zgłosił się do pana, prosząc o twą pomoc w mych poszukiwaniach, gdyby mnie nie przestrzeżono w Scotlad-Yard, że nie tylko nie zechcesz mi dopomódz, ale prawdopodobnie będziesz mi przeszkadzać, gdyż pragniesz ukryć Salter'a przed wzrokiem policyi.

— Jakto! powiedziano to panu w Scotland-Yard, zawołał Karol.

— Tak, na mocy tego co mówił Grimley.

— A więc powiem panu jak było rzeczywiście, rzekł Karol, pragnąc o ile możności naprawić złe którego sam był sprawcą. Przed niejakim czasem, pewne powody skłoniły mnie do zasięgnięcia wiadomości dotyczących Salter'a i udałem się w tym celu do panów Plunkett et Plunkett, lecz ci nie mogąc mi ich dostarczyć wskazali mi pana Burtenshaw. Następnie Burtenshaw przywołał na moje żądanie Grimley'a, i rozmawiałem z nimi dwa razy, ale nie wymówiłem ani słowa dozwalającego się domyślać że Salter znajduje się w Foxwood, i mogącego wywołać poszukiwania.

— Jednak wiadomo ci, sir Karolu że Salter tu się ukrywa.

— Zaręczam panu że tego nie wiem.

Ajent milczał przez chwilę; nie dowierzał sir Karolowi.

— Co do mnie, mogę zaręczyć że Salter ukrywa się w Foxwood, rzekł nakoniec, jest to moje najgłębsze przekonanie, sir Karolu. Dośćby mi było teraz wyciągnąć rękę a dotknąłbym nią prawie miejsca w którem się ukrywa.

Znajdowali się naprzeciwko bramy Labiryntu i domku rządzcy. Karol zadawał sobie pytanie z niewysłowionem przerażeniem, o którem z tych miejsc Tatton mówił. Aresztowanie Salter'a byłoby prawie równie zgubnem jak aresztowanie Adama, bo niewątpliwie pierwsze pociągnęłoby za sobą drugie.

— Wyraziłeś się pan że „takie jest twoje przekonanie” nie jesteś więc jeszcze zupełnie pewnym.

— Jestem o tyle pewnym o ile można nim być nie mając świadectwa swych własnych oczu...

— Dobry wieczór, sir Karolu.

Te słowa wyszły z usta pana Smith, który palił fajkę stojąc przy furtce. Karol ukłonił się i przeszedł.

— Zdaje się że pan rządzca wiedzie tu bardzo przyjemne życie, sir Karolu, rzekł pan Tatton.

— Pan go zna? zapytał Karol.

— Tylko z widzenia. Widuję go często idącego w tę lub ową stronę, a dziś nawet spotkawszy się z nim w polu, prosiłem aby mi powiedział która godzina, gdyż wczoraj wieczorem sprężyna pękła w moim zegarku.

Karol zadrżał. Czyby się pomylił sądząc że Smith jest Salter'em? Czy to było tylko prostem urojeniem, którego skutki mogą być tak zgubne dla jego brata? Jeźli tak jest to niech Bóg zlituje się nad nim!

— Więc twarz mego rządzcy jest panu dobrze znana, zapytał Karol prawie cicho, obawiając się aby drżenie głosu nie zdradziło jego wzruszenia.

— Doskonale, odpowiedział Tatton.

— Czy... czy jest jakie podobieństwo między nim a Salter'em?

— Nie widzę żadnego.

— Czy jesteś pan tego pewnym? zapytał Karol po chwili milczenia.

Tatton spojrzał na niego z wyrazem pewnego zadziwienia, jakby nie mógł zrozumieć do czego zmierza to pytanie.

— Jest mniej więcej tego wzrostu co Salter, i ma włosy tegoż samego koloru, ale to nie stanowi jeszcze podobieństwa, a innego nie widzę.

— Czy pan przypomina sobie dokładnie powierzchowność Salter'a? zapytał znów Karol po chwili zastanowienia.

— Równie dokładnie jak mego rodzonego brata.

Nastąpiło znów milczenie, a w końcu sir Karol odezwał się kładąc rękę na ramieniu ajenta policyjnego, jakby chciał tym sposobem rozbudzić jego uwagę.

— Szczerze nad tem ubolewam że stałem się pomimowolnie przyczyną takiego zawikłania i kłopotu. Będziesz mógł panie Tatton wyjechać ztąd skoro tylko zechcesz, ponieważ zdawało mi się właśnie że to mój rządca Smith jest Salter'em.

— Czy być może!... zawołał Smith z wyrazem zdumienia i niedowierzania.

— Daję panu na to słowo honoru że Smitha nie ktoś inny był celem moich podejrzeń.

— Zechciej mi wybaczyć, sir Karolu, ale doprawdy trudno mi zrozumieć podobną pomyłkę. Jakże można było przypuścić aby Salter, zbiegły więzień, za schwytanie którego wyznaczono pięćset funtów nagrody, mógł przebywać tak jawnie w Anglii, i tak śmiało pokazywać się ludziom.

Jakże to często jedna rozsądna uwaga może nam wykazać śmieszność powziętych przez nas mniemań! Karol teraz dopiero poznał jak niedorzeczne mi były jego przypuszczenia, gdy ajent policyi przedstawił mu rzeczy we właściwem świetle.

— Muszę pana objaśnić jak się to stało, odpowiedział śpiesznie Karol, sądząc że tym sposobem uda mu się zniweczyć wszelkie przypuszczenia zagrażające bezpieczeństwu Adama. Pewna drobna okoliczność nasunęła mi na myśl że Filip Smith, którego nie znałem wcale, zanim został u mnie rządzcą, mógł być rzeczywiście zbiegłym więźniem, Filipem Salter. Podejrzenie to wzmagało się z czasem, i łatwo pan pojmie że musiało mnie niepokoić, i że nie ma w tem nic dziwnego jeżeli chciałem się przekonać o ile było uzasadnione. W tym celu udałem się do panów Plunkett et Plunkett, a ci nie mogąc mi dać żadnych objaśnień, jak już mówiłem odesłali mnie po nie do pana Burtenshaw.

Tatton słuchał z najgłębszą uwagą.

— Muszę wyznać że nie dowiedziałem się tam nic coby zamieniało w pewność moje domysły. Burtenshaw nie widział nigdy Salter'a, przywołał więc człowieka z pod którego straży ten uciekł, to jest Grimley'a, który opisał mi w ten sposób powierzchowność Salter'a, że ten opis można było zupełnie zastosować do Smith'a.

— Przyznaję, sir Karolu, że rysopis jednego mógłby służyć i dla drugiego z nich, ale patrząc na obydwóch nie podobnaby znaleźć między nimi żadnego podobieństwa.

— Tak więc, mówił dalej Karol, to co usłyszałem od Grimley'a wzmocniło tylko moje podejrzenia, nie dając mi żadnej pewności. Taki stan rzeczy nie mógł mnie zadowolnić; drażniła mnie ta myśl że mam u siebie człowieka nie zasługującego wcale na zaufanie, i chcąc wyjść z tak przykrej niepewności, pojechałem znów do Londynu i widziałem się powtórnie z panem Burtenshaw i Grimley'em, a po rozmowie z nimi byłem już prawie pewnym, że podejrzenia moje są zupełnie słuszne.

— A pomimo tej pewności, nie zawiadomiłeś o tem policyi, sir Karolu i nie wskazałbyś jej nigdy Salter'a, wszak prawda?

— Tak, nigdy, odpowiedział sir Karol szczerze. Chciałem tylko powiedzieć Smith'owi że wiem kim on jest rzeczywiście i oddalić go jak najśpieszniej. Było to z mej strony nagannem i nieprawnem!... ale skutki prawa kryminalnego zbyt boleśnie dały się uczuć w mej rodzinie, abym mógł kogobądź narażać na nie.

Pan Tatton był o tyle delikatnym że nie odpowiedział ani słowa na tę wzmiankę o strasznym losie sir Adama Andinnian. Uznawał słuszność takiego powodu ze strony człowieka tak czułego i wrażliwego jak się być zdawał sir Karol.

Z mej strony to tylko mogę powiedzieć, rzekł po niejakim czasie, że byłbym bardzo z tego zadowolnionym gdyby pan Smith był rzeczywiście Salter'em, gdyż pochwyciłbym go już dawno. Ale... czy z pewnością, sir Karolu, nie masz już innego podejrzenia?

— Jakiego podejrzenia?

— Że prawdziwy Salter ukrywa się w Foxwood.

Serce Karola zaczęło bić prędzej i silniej.

— Nietylko że nie przypuszczam nic podobnego, ale jestem teraz pewnym że się tu nie znajduje, skoro mi pan dowiódł że Smith nie jest Salter'em. Nie ma tu jednego człowieka któregobym nie znał i nie wiedział kim jest.

— Czy nie miałeś kiedy, sir, jakich stosunków z Salter'em?

— Nigdy.

— Więc jest to człowiek zupełnie obojętny dla ciebie, sir Karolu?

— Najzupełniej.

— Tak rozmawiając minęli bramę prowadzącą do Foxwood-Court, i znajdowali się już dość dawno na drodze do wsi. Zdawało się że sir Karol zamierza odprowadzić pana Tatton aż do jego mieszkania.

— Ale, rzekł, powiedz mi pan czemu tu przybrałeś nazwisko Enen?

— Ja go bynajmniej nie przybrałem, tylko zostało mi nadanem przez wdowę Jinks, która widocznie musiała się przesłyszyć, odpowiedział, uśmiechając się Tatton, ale ponieważ było mi z tem dogodniej, nie wyprowadziłem jej z błędu.

Karol zamyślił się. Zadawał sobie pytanie na czem się to skończy i czy może mieć nadzieję że ten człowiek poprzestając na otrzymanem od niego objaśnieniu wyjedzie do Londynu. Głos pana Tatton przerwał jego rozmyślania.

— Zechciej mi powiedzieć, sir Karolu, czy znasz dobrze miejsce zwane Labirynt.

— Labirynt należy do mnie. Dla czego pytasz się o to, panie Tatton.

— Tak, wiem o tem. Chciałbym właśnie dowiedzieć się, sir Karolu, czy znasz dobrze jego mieszkańców?

— Labirynt zajmuje obecnie mistress Grey, której mąż wyjechał za granicę.

— Zapewnie z jej ust, sir Karolu, słyszałeś tę historyjkę? Mąż jej mieszka z nią razem... jeźli tylko jest jej mężem. *Tam właśnie* powinniśmy szukać Salter'a.

Wzruszenie połączone z przerażeniem zatamowało oddech w piersiach Karola, w oczach mu się zaćmiło. Wzniósł do nieba rozpaczliwą modlitwę, wzywając jego pomocy i rady.

— Co doprowadziło pana do tego wniosku? odezwał się usiłując mówić spokojnie.

— Zawiadomiono mnie że jakiś gentleman ukrywa się w Labiryncie, i jestem pewny że to Salter; według opisu jaki otrzymałem, ten gentleman jest zupełnie do niego podobnym. Do tej chwili sądziłem, sir Karolu, że twe podejrzenia zwracają się także w tę stronę.

— Bynajmniej; daję panu na to słowo, co więcej mogę panu zaręczyć i to z pewnością, że się mylisz. Mistress Grey mieszka tam zupełnie sama z dwojgiem starych służących.

— Wiem dobrze iż wszyscy tu są przekonani że mistress Grey mieszka tam sama, co nie dowodzi jednak że to przekonanie zgadza się z prawdą.

— Zaręczam panu że tak jest rzeczywiście, odpowiedział Karol o ile mógł najspokojniej, gdyż obawiał się okazać zbyt gorliwym obrońcą mistress Grey. Bywam dość często w Labiryncie, z powodu że jest to dom stary, w którym ciągle trzeba coś naprawiać, i jestem najsilniej przekonany, że tam nie ma nikogo prócz tych trzech osób które wymieniłem już panu... Ma się rozumieć że nie liczę dziecka.

— Tak, rzeczywiście... jest tam dziecko.... Ale czegóż to dowodzi?

— Niczego coby mogło popierać domysły pana. Mistress Grey mieszka w Labiryncie dopiero pięć czy sześć miesięcy.

— Możesz śmiało zaufać moim słowom, sir Karolu, ta pani potrafiła tak samo oszukać ciebie jak oszukuje wszystkich tu w ogóle. Powtarzam raz jeszcze że się tam ktoś ukrywa, i nie zadziwiłoby mnie wcale gdybym się przekonał że to Salter. Co do służących, ci ma się rozumieć są w zmowie z panią.

— Co do mnie, jestem przekonany że się pan myli, i założyłbym się o własną głowę że mistress Grey nikogo tam nie ukrywa. Spodziewam się że pan nie myśli rozpoczynać poszukiwań na podstawie podobnego przypuszczenia.

— Zobaczymy... odpowiedział ostrożnie Tatton, mam czas zastanowić się nad tem, może wkrótce dowiem się czegoś więcej. Gdybym potrzebował upoważnienia do poszukiwań wewnątrz Labiryntu udałbym się do ciebie, sir Karolu, bo wszakże zasiadasz w sądzie pokoju.

Karol skinął twierdząco głową. „Wystaram się o nie chętnie jeźli będzie panu potrzebne" rzekł, przypomniawszy sobie że w takim razie miałby czas przestrzedz brata. Rozeszli się po tych słowach, ajent udał się na ulicę przy której mieszkał, a sir Karol zawrócił się ku domowi.

Jednak nie na tem skończyły się w tym dniu wypadki dotyczące Labiryntu. Miss Blake wyszła ostatnia z kaplicy, gdy ściemniło się już prawie zupełnie. Tom Pepp zamknął śpiesznie kaplicę, i wracał z nią razem do domu, gdyż miała jeszcze odwiedzić chorą sąsiadkę jego matki. Jakkolwiek cierpka i surowa, posiadała jednak pewne przymioty. Matka Bell dostała trawiącej gorączki, przewidywano że skończy niedługo, i miss Blake odwiedzała ją często i czytała jej stosowne ustępy z Biblii. Tom Pepp uwiadomił ją dziś w kaplicy że prawdopodobnie chora nie dożyje jutra, i dla tego to miss Blake odwiedzała ją tak późno.

Wybiła dziesiąta na zegarze kościelnym w Foxwood gdy Teresa wyszła z mieszkania matki Bell. Noc była pogodna. Tom Pepp czekał na nią przed domem i ofiarował się odprowadzić ją do domu. Zgodziła się na to chętnie, czując że byłoby jej przykro znajdować się samej na drodze tak późnym wieczorem.

— Ale, rzekła zatrzymując się nagle, sprawię tem przykrość twej matce, która nie będzie mogła się położyć dopóki nie wrócisz do domu; wiem że udajecie się wcześnie na spoczynek.

— O! niech pani będzie spokojna, odpwiedział chłopiec; matka składa dziś bieliznę do magla, i przykazała mi sama abym panią odprowadził.

Szli więc dalej razem rozmawiając, gdyż Tom miał zawsze jakieś nowe i zabawne historyjki do opowiadania. Gdy już dochodzili do Labiryntu, Teresa pożegnała chłopca wynagrodziwszy go za fatygę. Furtka do parku była już tak blizko że mogła dojść sama.

Szła drogą od strony Labiryntu i dochodziła właśnie do bramy, gdy usłyszała odgłos kroków zbliżających się z przeciwnej strony. Skryła się między drzewami, — nie w celu szpiegowania sir Karola, jak to czyniła dawniej, ponieważ sądziła że jest jeszcze w Londynie, lecz że nie życzyła sobie aby ją ktoś spotkał o tej porze samą jedną na drodze. Chciała tam zaczekać dopóki ten ktoś nie przejdzie.

Nie przeszedł jednak; kroki zatrzymały się przy bramie i patrząc przez liście poznała sir Karola. Wyjął jak zwykle klucz z kieszeni, otworzył bramę a następnie zamknął ją za sobą i znikł między drzewami. Miss Blake westchnęła ciężko myśląc o przewrotności mężczyzn, i stała nieruchoma dopóki nie była pewną że sir Karol nie będzie mógł posłyszeć szelestu jej sukni potrącającej o gałęzie.

Nigdy jeszcze w życiu nie przelękła się tak strasznie. Postąpiwszy parę kroków padła w objęcia jakiegoś mężczyzny, który jak widać ukrywał się także.

— Najmocniej panią przepraszam.

— Sprawiedliwe nieba! jakże mnie pan przestraszył, panie Enen, szepnęła. Cóż pan tu robi?...

— Mógłbym zadać pani toż samo pytanie, odpowiedział z uśmiechem. Przypuszczam że pani wraca do domu... ja zaś chciałem wypalić cygaro na świeżem powietrzu... tylko ze mi zgasło. Czy-mi się zdaje, czy to sir Karol Andinnian otwierał bramę?

— Tak, to sir Karol, odpowiedziała pogardliwym tonem, i nie pierwszy to raz tam wchodzi.

— Aby zalecać się do mistress Grey, rzekł pan Enen byle coś powiedzieć, gdyż myślał właśnie o Filipie Salter.

Miss Blake, w której uszach brzmiały jeszcze bogobojne napomnienia wielebnego Gwidona, nie mogła ukrywać dłużej swego oburzenia. W słowach pana Enen widziała niezbity dowód że i on wie o gorszącem postępowaniu sir Karola!

— Takie postępowanie jest niegodziwe, hańbiące! zawołała, zwłaszcza dla człowieka ożenionego, jak sir Karol.

Pan Enen słuchał z najgłębszą uwagą. Zrozumiał zaraz co chciała powiedzieć.

— Przewidzenie! zawołał, plotki! i nic więcej...

— Chciałabym żeby to były tylko plotki, odpowiedziała miss Blake. Gdy Betzey Chaffen opowiadała panu wtenczas o jakimś gentlemanie którego widziała przez chwilę, a który następnie znikł bez śladu, o mało co, przejęta oburzeniem, nie powiedziałam jej że to był sir Karol.

— Więc... więc pani utrzymuje... pani sądzi rzeczywiście że pan Grey nie istnieje... to jest że nie ma w Labiryncie żadnego gentlemena? zapytał zdumiony ajent.

— Pan Grey! powtórzyła szyderczym tonem miss Blake. Jedynym panem Grey jakiego tam widzieć można jest sir Karol, nie ja jedna wiem o tem... To prawdziwy skandal!

Po tych słowach pożegnała pana Enen i przeszedłszy na drugą stronę drogi wkrótce weszła do parku. Ajent patrzył na nią długo jak odurzony, nie wiedział teraz czego się ma trzymać.

IX.

Tylko sowa.

W Labiryncie otwarte było weneckie okno saloniku znajdującego się na pierwszem piętrze; sir Adam stał przy niem wraz z żoną. On miał na sobie frak, który nosił co wieczór pomimo próśb żony i brata, ona białą suknię i szal błękitny kaszmirowy.

Była jeszcze blada i osłabiona; dziś pierwszy raz po chorobie wyszła ze swego pokoju. W saloniku było zupełnie ciemno; przed zapaleniem światła zamykano zawsze okna i okiennice.

Nie mówili jeszcze z sobą gdyż Róża zaledwie przed chwilą weszła do pokoju. Zostawała ciągle pod wpływem przerażenia a i sir Adam zaczynał się niepokoić. Skutki podejrzeń ciążących na Labiryncie dawały się czuć jego mieszkańcom; podejrzeń tem straszniejszych że nie objawiały się jasno

i wyraźnie. Adam dowiedział się od brata że ajent policyi czynił w Foxwood jakieś poszukiwania, i że to on właśnie zakradł się w nocy do Labiryntu, a następnego dnia starał się wybadać Annę Hopley. Prócz tego Karol przesyłał do niego często bileciki zalecające mu największą ostrożność.

Jakkolwiek odważny, musiał czuć niebezpieczeństwo swego położenia. W każdej chwili we dnie i w nocy mógł spdziewać się zejścia policyi przychodzącej go aresztować. Zdawało mu się co prawda że zdoła ukryć się przed nią, ale pomimo to nie mógł być spokojnym. Zostając ciągle pod wpływem obawy, przysłuchiwali się z natężeniem czy nie usłyszą jakiegoś niezwykłego szmeru, śledzili prawie ciągle wzrokiem czy się ktoś nie zbliża a serca ich świadome niebezpieczeństwa, biły ciągle żywo i gorączkowo. Wszystko to musiało wyczerpywać ich siły.

Czy ktoś z obojętnych zdoła wyobrazić sobie dokładnie podobne położenie? Wątpię. Jakżeby zdołał przedstawić sobie jedną tylko godzinę tej śmiertelnej trwogi, jedną minutę tej ciągłej moralnej katuszy, skoro podobnych nie zaznał nigdy. Tak, w przeszłości i przyszłości ukazywało im się bezprzestannie ponure widmo wyspy Portland.

Lekki wietrzyk poruszył nagle gałęzie drzew Labiryntu. Wiedzieli że to wiatr tylko, ale teraz każdy szmer sprawiał na nich tak silne wrażenie że zadrżeli oboje, i nie prędko uspokoili się zupełnie.

Różę dręczyła inna jeszcze nie mniej ważna obawa, przerażał ją stan zdrowia męża. Nie mogła wątpić że któryś z wewnętrznych jego organów był silnie dotknięty, gdyż Adam ulegał co raz częściej atakom gwałtownego bólu w boku. Anna Hopley utrzymywała że trzeba koniecznie wezwać doktora, ale napróżno starała się o tem przekonać swego pana, a jeśli czyniła mu jakieś uwagi w obecności pani, śmiał się tylko i wszystko w żart obracał.

Anna Hopley wiedziała więcej niż Róża, więcej niż Adam pozwalał jej powiedzieć pani. Pewnego dnia gdy szukała pana w ogrodzie, znalazła go zemdlonego na trawniku. Powiedział jej następnie że powodem tego zemdlenia był atak silniejszy jeszcze nad te które dotąd miewał, ale przykazał najsurowiej aby nic nie wspomniała o tem pani. Anna Hopley zastosowała się ściśle do jego woli, ale pomimo to Róża spostrzegła wkrótce że stan zdrowia męża pogorszył się znacznie i niepodobieństwo sprowadzenia doktora bez narażenia się na niebezpieczne wnioski i domysły, stało się dla niej przedmiotem ciągłego udręczenia.

— Czy dziecko śpi dziś spokojnie, Różo?

— Tak, sypia teraz lepiej i jest nieco zdrowsze od chwili gdy je ochrzczono, odpowiedziała Róża. Zdaje się że nasz synek zrozumiał że jest chrześcianinem, i to go uspokoiło.

Adam się uśmiechnął.

— Zdaje mi się że zbyt długo stoisz, młoda mateczko?

— Nie czuję się zmęczona; spałam dość długo dziś po południu.

— Może nie wiesz że już tak późno... blizko dziesiątej.

— Czy chcesz aby zapalić lampę, zapytała.

— Nie trzeba. Wolę pozostać bez światła.

— I ona tak wolała. Czuła się teraz bezpieczniejszą siedząc przy otwartem oknie, niżeli znajdując się w szczelnie zamkniętym pokoju, z którego nie można było ani usłyszeć ani dostrzedz zbliżającego się niebezpieczeństwa. Prawdopodobnie odpowiedź Adama wypływała z tychże samych powodów.

— Czy ci nie chłodno, Różo?

— Nie. Ten szal jest bardzo ciepły; a zresztą trudno się zaziębić gdy powietrze jest prawie tak ciepłe jak w lecie.

Noc była cicha i spokojna; gwiazdy iskrzyły się na niebie; wietrzyk który przez chwilę szumiał między drzewami uciszył się zupełnie. W tej chwili właśnie rozległ się w powietrzu dźwięk kościelnego zegara bijącego dziesiątą godzinę, którą słyszała także miss Blake wychodząca od matki Bell. Mąż i żona stali ciągle obok siebie, usiłując zapomnieć o udręczeniach zatruwających im życie.

— Jeżeli chcesz pozostać tu dłużej, Różo, odezwał się znów Adam, to zamknę okno, powietrze wieczorne, choćby tak jak dziś spokojne, może ci zaszkodzić.

Położyła lekko rękę na jego ramieniu. Oboje nauczyli się schwytać uchem najlżejszy nawet ale niezwykły odgłos, ale że on mówił w tej chwili, Róża usłyszała pierwsza iż się ktoś zbliża.

Nastało milczenie wśród którego słychać było tylko gwałtowne ich serc uderzenia, a w minutę później już wyraźnie usłyszeli odgłos kroków wśród drzew Labiryntu.

— Odejdź Adamie, rzekła cicho Róża.

Lecz zanim wyszedł z pokoju, zagwizdano cicho pod oknem ludową piosneczkę, i poznali że to Karol idzie, gdyż zwykle tym sposobem oznajmiał swą obecność, Anna Hopley odsunęła natychmiast zasuwę i wpuściła go do domu.

— Przychodzisz dziś bardzo późno, sir Karolu.

— Tak, ale nie mogłem przyjść wcześniej, muszę być ostrożnym.

Biedny Karol! nie domyślał się że pomimo to widziano go gdy wchodził do Labiryntu, że miss Blake i pan Enen stali przy bramie ukryci za drzewami.

— Wytłomaczże mi, Karolu, rzekł sir Adam, gdy Anna zeszła do kuchni zapaliwszy lampę i pozamykawszy okiennice, co znaczy ten bilet ostrzegający który odebrałem dziś od ciebie?

— Potrzebowałem cię ostrzedz żeś powinien być ostrożniejszym niż kiedykolwiek, odpowiedział po chwili wahania Karol, spoglądając pomimowolnie na Różę.

— Jeśli masz cóś powiedzieć, niech cię nie powstrzymuje obecność mej żony... mów otwarcie, zawołał Adam nie lubiący wszelkich przemilczeń.

— Tak, powiedz wszystko Karolu, rzekła Róża spoglądając na niego niespokojnie. Sprawi mi to pewną ulgę gdy się dowiem czegoś pewnego; nie mogę usłyszeć już nic straszniejszego nad to co przypuszczam.

— A więc powiem otwarcie jak rzeczy stoją. Dowiedziałem się że ten człowiek jest ajentem policyi przysłanym z Londynu, któremu polecono czynić tu poszukiwania w celu wyśledzenia zbiegłego więźnia. Ale nie ciebie Adamie, lecz niejakiego Salter'a.

— Salter'a? powtórzył Adam z gniewem gdy Róża zadrżała jednocześnie. Jakiego Salter'a? Cóż to za jeden? Czy znajduje się jaki Salter w tej okolicy.

Zdaje się że jakaś okoliczność wzbudziła w policyi londyńskiej podejrzenie że ten Salter ukrywa się w Foxwood, i przysłała swego ajenta, który tu przybrał nazwisko Enen, aby go wyśledził. Nie ma jednak wątpliwości że nie znajdzie tu Salter'a gdyż to podejrzenie jest zupełnie mylnem... Na nieszczęście zwrócono uwagę pana Enen na Labirynt i na to miejsce głównie zwrócone są jego oczy.

— Aby mnie wyśledzić? zawołał Adam.

— Nie. Policya nie powątpiewa, o ile wiem, że spoczywasz w grobie rodzinnym na cmentarzu w Foxwood, tylko ajent domyśla się że ktoś jest ukryty w Labiryncie i sądzi że to Salter.

— Ale dla czegóż, u licha! podejrzenia jego zwróciły się na Labirynt? zapytał niecierpliwie Adam.

— A! dla czego! winni to jesteśmy twej własnej nierozwadze, popełniłeś szaleństwo zatrzymując się nad schodami gdy doktór wchodził na nie wraz z mistress Chaffeu. Ta kobieta rozpowiadała następnie wszystkim, a jak się zdaje i panu Enen, że widziała tu jakiegoś gentlemena, czy też widmo ukazujące się pod tą postacią. Łatwowierni utrzymują że to mogło być widmo, dusza pokutująca jakiegoś Throcton'a, ale policyanci nie wierzą w podobne rzeczy.

— Więc ten jegomość czuwa gorliwie nad Labiryntem?

— Tak, ale domyśla się w nim obecności Salter'a a nie twojej.

Sir Adam zamyślił się. Róża słuchała chciwie wpatrując się w Karola.

— Czy to rzecz *pewna*, zapytała że Salter nie ukrywa się gdzieć blizko.

— Najpewniejsza, Różo. To przypuszczenie było całkiem mylne, odpowiedział Karol rzucając na nią porozumiewające spojrzenie. Widzisz więc dodał, chcąc ją choć trochę uspokoić, że ten człowiek który wydawał ci się tak strasznym nie szuka wcale Adama lecz Salter'a.

-- Szukając jednego może znaleźć drugiego, rzekł Adam. Kto wie czy nie nosi w kieszeni fotografii, sir Adama Andinnian, lub czy nie widział mnie i nie zachował w pamięci moich rysów?

— Radbym zapytać go czy nie znał sir Adama Andinnian, ale się obawiam... gdyby powziął jakieś podejrzenie, kto wie do czegoby doszło? Główną podstawą twego bezpieczeństwa stanowi to że cię uważają za umarłego.

— Nie tylko główną, ale jedyną, odpowiedział sir Adam. Ale skoro ten człowiek zwraca tak baczną uwagę na Labirynt, niepodobna nawet pomyśleć abym mógł ztąd wyjechać. Można być pewnym że nad nim czuwa w dzień i w nocy, i że ma zapewnie kilku pomocników czekających tylko na jego skinienie.

— Tak, wobecnej chwili nie pozostaje ci nic jak tylko pozostać gdzie jesteś. Opowiedziałem ci te szczegóły dlatego jedynie, aby cię skłonić do ostrożności. Gdybyś nie narażał się tak zuchwale na niebezpieczeństwo, byłbym to wszystko zataił przed tobą, aby nie zatruwać ci do reszty już i tak gorzkiego życia.

— Gdyby nawet ten człowiek widział mnie kiedyś i choćby rozciągnął swe poszukiwania aż wewnątrz Labiryntu to i tak, prawdopodobnie potrafiłbym uchronić się przed jego wzrokiem, rzekł Adam. Przyznaj sam, Karolu, że ujęcie mnie byłoby nader trudnem zadaniem, dzięki przedsięwziętym z mej strony środkom ostrożności.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 28.

(*Dokończenie*).

N. 17—18. Serwetka siatkowa z kolorowem wyszyciem.

Tło siatkowe robi się z grubego kordonku i wyszywa kolorową filozetą w całej grubości, gdzie niegdzie brana jest nitka podwójna przez co wyszycie odznacza się bardzo wypukło. Część deseniu i ząbki brzeżne podaje w naturalnej wielkości ryc. 18; szlaczek idący nad ząbkami daliśmy w małem powiększeniu na ryc. 15 w N. 27.

N. 19. Kapotka z aksamitną główką.

Ryc. 19 przedstawia oryginalną kapotkę z główką aksamitną ciemnego pawiego koloru a z rondkiem słomkowem, przykrytem rozetami z piórek, naszytem na żółtej atłasowej wstążce. Kokardki i długie końce z wstążki atłasowej żółtej i niebieskiej.

N. 20. Kapelusz z aksamitnem rondkiem.

Przy główce z cienkiej słomki, szerokie spuszczone rondo pokryte jest aksamitem koloru bordeaux i oszyte z brzegów słomkową torsadką. Przybranie i końce koronkowe. Z boku girlanda z cieniowanych liści. Kapelusz ten odpowiedni tylko dla osób starszych.

szlakiem, układa się na staniku gładkim, zaczynając na lewem ramieniu od końca draperyi 43 cent. szerokiego ściśle sfałdowanego, w odstępie 49 cent. na wcięciu stanu powtórnie zebrana jest w fałdy, a niżej na spódnicy rozsuwa się na rodzaj panier. Z pozostającej długości układa się upięcie tylne podług fig. 76 i drugą połowę panier podchodzącą pod spód. Fałdowanie na drugiej połowie przodu stanika dodane z oddzielnego kawałka 43 cent. szerokiego a 52 długiego.

N. 27 i 34. Suknia z paletotowym stanikiem. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—10.

Długi paletocikowy stanik z kamizelką, ma boczne części odcinanej baskiny podszyte materyą i zmarszczone; krój baskiny wskazuje fig. 4; przy pierwszym boczku dodana jest klapka od kieszeni, przy plecach zaś naddaje się na fałdę w baskinie zachodzącą pod spód. Draperya przednia ułożona jest z materyału wziętego skośnie przez co fałdy układają się b. zręcznie; miary długości i szerokości podane na fig. 10 pod literą *a*, zaś litera *b* daje połowę draperyi tylnej; fałdy składają się podług punktów i krzyżyków, całość upięcia wskazują ryc. 27 i 33.

N. 32. Suknia z plisowaną spódnicą.

Odrobiona jest z kaszmiru gładkiego piaskowego i w kratę z dwóch cieni niebieskich na tle piaskowem. Spódnica plisowana zakończona u dołu falbaną z mocnej koronki; krótka fartuszkowa tunika z gładkiego kaszmiru, oszyta szeroką plisowaną falbaną przyszyta jest na spódnicy. Upięcie tylne dane z dwóch wązkich brytów ułożonych nakształt szarf, z boków przepiętych kokardami z wstążki. Krótki stanik bawetowy ogarnirowany u dołu koronką, z przodu zapinany na bok i ozdobiony oryginalnym kołnierzem z materyału w kratę.

N. 33. Suknia zdobna haftem.

Spódnicę zakończoną falbaną układaną w kontrafałdy, prawie przykrywa wolant haftowany w maszynie 55—60 cent. szeroki; haft jest tego koloru co tło. Brzeg wolantu kryje się pod wązką draperyą, fałdowaną poprzecznie. Zręczne, krótkie panier przemarszczone w górze i przyszyte na sukni, ozdobione jest obłożeniem z haftu. Z tyłu dane upięcie z prostego bryta. Zgrabny, bawełtowy stanik szaurowany z tyłu, wykończony z materyału gładkiego i haftowanego, tworzy rodzaj gorsecika dopełnionego bluzką. Rękawy od góry wązkie deseniowe, od łokcia są bufowane z gładkiego materyału.

N. 33. Ubranie wizytowe.

Na gładkiej jedwabnej materyi dany stanik i draperya à panier z grenadyny deseniowej, poniżej draperyi i spódnicę zdobią trzy szerokie koronkowe falbany. Górny brzeg panier przyszyty jest na baskinie stanika pod sutą riuszą koronkową, zdobną grelotkami. Upięcie tylne złożone z dwóch prostych brytów, zachodzi na stanik i przypina się na haftki pod kokardą z wstążki. Okrągławy wykrój szyi otacza riusza w środku przyciśnięta grelotkami dżetowemi.

N. 21—25. Ubranie i prześcieradło kąpielowe. Krój na arkuszu N. II, fig. 11—15a i N. XXIII, fig. 75.

Ryc. 21—22 przedstawia prześcieradła kąpielowe, z mięsistego materyału, z których jedno liczy 120 cent. długości a 77 cent. szerokości, drugie zaś 206 cent. długości a 136 szerokości; brzegi zdobią szlaki wyszywane kolorowo i szeroka frendzla. Płaszczyk z kapturkiem jaki widzimy na ryc. 23, uszyty z białego ruberu, zakończony szlakiem fabrycznem 4 cent. szerokim, kraje się podług fig. 75; kapturek od środka oszyty jest szlakiem i ma brzeg wyłożony w szeroki ranwers. Do przepasania służy gruby sznur z kwastami. Ryc. 24—25 przedstawia ubranie kąpielowe z deseniowego perkalu, złożone z bluzy z półwciętemi plecami a marszczonemi przodami, dopełnionemi szmizetką białą. Formę i miary szmizetki załącza fig. 12 *b*; u góry i u dołu jest zmarszczona i wszyta w listewkę, do lewej połowy przodu przyszywa się a do prawej przypina na guziki. Krótkie rękawki wszyte w pachę, zmarszczone są u dołu; plisy i kokardy z ponsowego szwajcarskiego perkalu. Formę majtek daje fig. 11; górny brzeg każdej połowy wszyty jest w pasek 4 cent. szeroki, stosownie do objętości zbywającą szerokość majtek zakłada się z tyłu w drobne fałdki, prócz tego pasek urządzony jest do ściągania na tasiemki.

N. 26. Suknia z draperyą szalową skrzyżowaną z przodu. Krój draperyi i plecy sukni na arkuszu N. XXVI, fig. 78—79.

Krój szalowej draperyi jest bardzo prosty i łatwy, jak to widzimy na fig. 78. Suknia przsdstawiona z przodu na ryc. 26, z tyłu na fig. 79, odrobiona jest z płótna gazowego piaskowego koloru, zakończona 16 cent. szerokim wolantem, i zdobna przemarszczanem bufowaniem. Draperya dana z gazy piaskowej w tureckie pasy, zdobna



N. 1—3. Ubrania letnie.

N. 1. Szlafroczek ranny batystowy. N. 2. Suknia ze stanikiem à panier. Patrz ryc. 25. N. 3. Suknia zdobna patkami. Patrz ryc. 6 w N-rze 30.

Opis do N-ru 29.

N. 1—3, 25 i ryc. 6 w N-rze 30. Toalety letnie.

N. 1. Ubranie batystowe ranne, w koło w drobne fałdki układane; ozdobione było koronką i kokardami z kolorowej wstążki.

N. 2 i 25. Suknia ze stanikiem à panier. Krój podług ryc. 1 i 10 w N-rze 14 „Tygodnika Mód“.

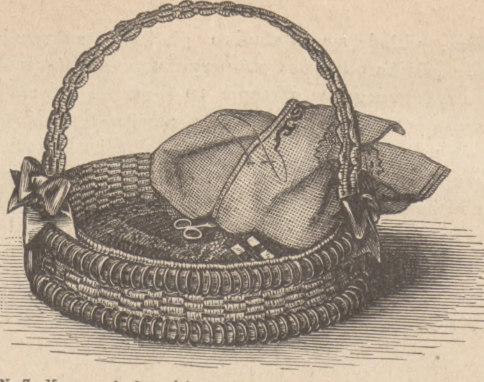
Model sukni podanej z tyłu i z przodu na ryc. 2 i 25, odrobiony był z satynki niebieskiej, z 22 cent. szerokim szlakiem w kratę, z kolorowym rzucikiem, dodanym wzdłuż sztuki, i z satynki niebieskiej w rzucik kolorowy. Z tej ostatniej zrobiona jest w fałdy ułożona spódnica, oszyta szlakiem w kratę, u dołu ogarnirowana gładkiem, wązkiem plisowaniem. Przy gładkim staniku część kamizelkowa, dana z satynki w rzucik; przy panier przymarszczonem i do brzegu stanika przyszytem i przy prostym tylnym brycie 100 cent. szerokim a 110 długim, dane szlaki w kratę. Bryt tylny przyszyty do brzegu baskiny pod kokardą, podpięty jest w 3 bufy.

N. 3 i ryc. 6 w N-rze 30. Suknia ozdobiona patkami.

Ryc. 3 i ryc. 6 w N-rze 30, przedstawiają dwie strojne suknie podług jednakowego fasonu odrobione, które jednak z powodu zmiany materyału i garnirunku, zupełnie odmiennie się przedstawiają. Ryc. 3 przedstawia kostium z satynki paljowej z bawełnianego, trykotowego materyału, na którego tle paljowem dany deseń ponsowy, naśladujący pismo japońskie. Spódnica od dołu zagarnirowana jest naprzemian 12 cent. szerokiemi plisowaniami z gładkiego materyału i 15 cent. szeroką koronką „vermicelle“ zajmującemi razem 52 cent. Draperya z przodu ułożona jest z bryta 106 cent. długiego a 88 szerokiego, z brzegów poprzecznych do 57 cent. sfałdowanego i między boki i bryt tylny wszytego. Dolny brzeg draperyi oszyty szlakiem 12 cent. szerokim, przecinanym na patki 7 cent. długie



N. 4. Kapelusz przybrany chusteczką do rannej przechadzki.



N. 7. Koszyczek do robót. Robota szydełkowa na trzcinie. Patrz ryc 8—11.

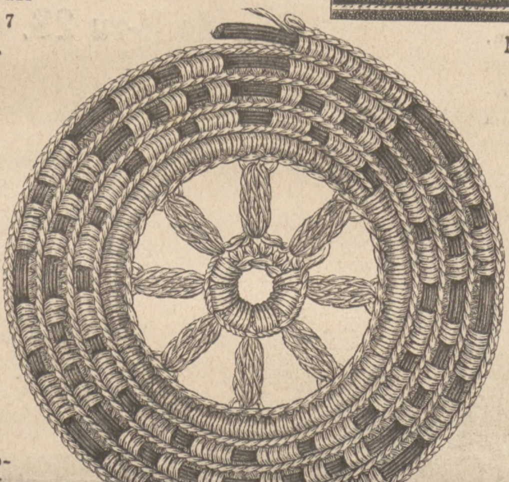


N. 5. Kapelusz do rannej przechadzki.

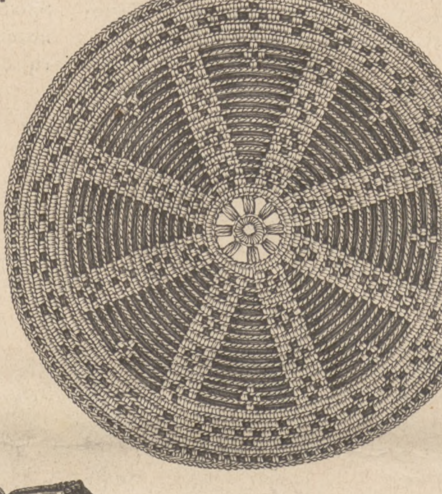


N. 6. Szlaczek haftowany kolorowym jedwabiem.

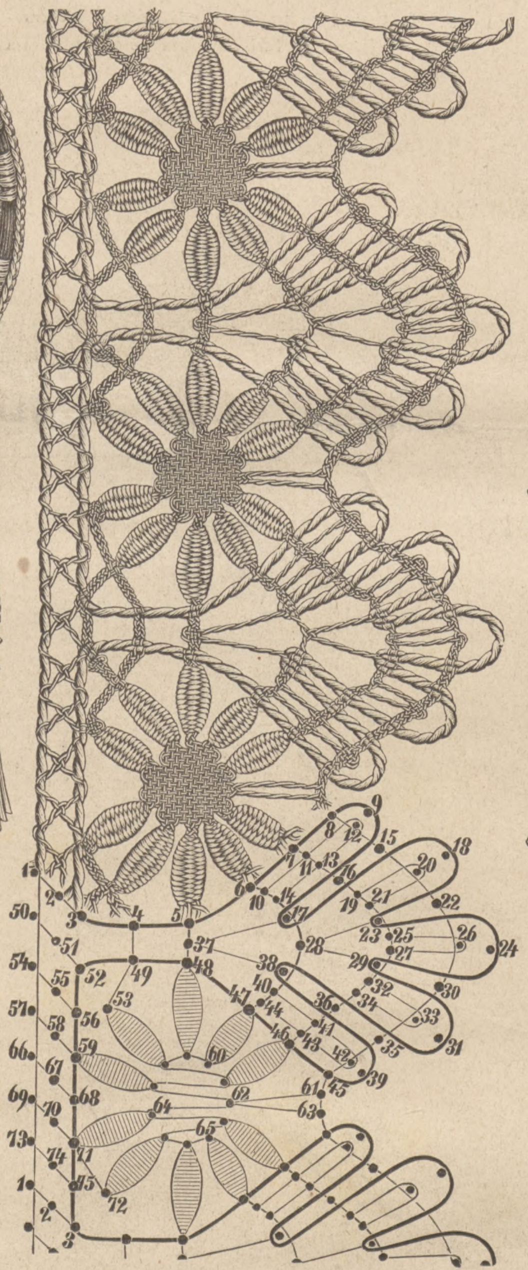
a 5 szerokie, zachodzące na koronkową falbanę. Bardzo krótką draperyę z tyłu, upina się z bryta 133 cent. długiego, a 150 szerokiego, z boków szlakiem oszytego. Ładny i świeży jest garnirunek stanika z baskiną, zrobionego z deseniowego materyału, dopełnionego z przodu gładką, plisowaną kamizelką, widoczną przy wykroju szyi 4, w pasie 8, a u dołu baskiny na 16 cent. szerokości, która dalej 25 cent. zeroka podchodzi pod baskinę 17 cent. szeroką. Na plisowaniu naszyte dwie marszczone koronki, z których górna wygląda między patkami baskiny Nr. 6 w N-rze 30 podajemy strojniejszą suknię, odrobioną z kremowej jedwabnej gazy, do której w miejsce wzdłuż sztuki dodanych szlaków, użyty jest adamaszek niebieski. Garnirunek spódnicy stanowi plisowanie 18 cent. szerokie i falbany z 14 cent. szerokiej koronki hiszpańskiej, przyszyte plisami z adamaszku. Tutaj draperya tylna jest długo spuszczona i tylko raz podpięta. Kokardy z aksamitnej albo atłasowej, 6 cent. szerokiej niebieskiej wstążki, z której pasek przewłóczy się przez otworki zrobione w staniku, poniżej wcięcia figury i wiąże z przodu na kokardę.



N. 8. Zaczęcie i robota denka do koszyczka, ryc. 7. Patrz ryc. 9—11.



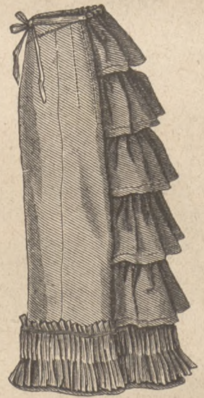
N. 9. Denko do koszyczka ryc. 7. Robota szydełkowa na trzcinie.



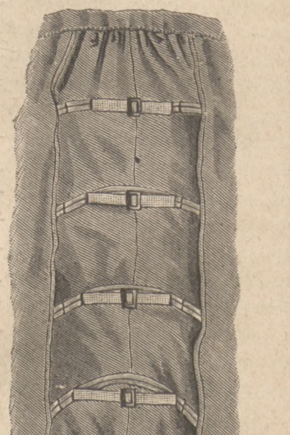
N. 14. Koronka ficelle. Robota na klockach na 32 nitek.



N. 12. Spódnica do sukni zdobna fałdowaniem.



N. 15. Spódnica krótka z turniurą. Patrz ryc. 16 i 21.



N. 16. Spodnia strona turniury do spódnicy ryc. 15.



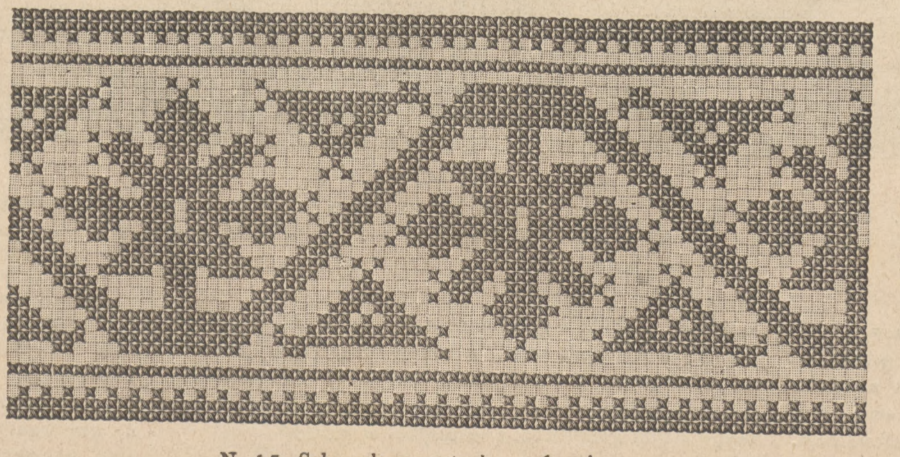
N. 13. Ubranie dla panienki lat 12—14.

N. 4—5. Kapelusze do rannych przechadzek.

N. 4. Kapelusz ubrany chusteczką. Pleciony był z grubej słomy Maniłla, z większem rondem, dobrze twarz zasłaniającem, nad którem z przodu dana girlanda z traw, z jednego boku bukietem maku przepięta. Z tyłu główka ubrana chusteczką ciemno ponsową jedwabną, trzymającą 55 c. w kwadrat, którą składa się na krzyż, fałduje i przypina na główce w ten sposób, iż rogi spadają na szyję i osłaniają negliżowe uczesanie włosów. Drugie końce chusteczki zapinają się kokardą ze wstążki pod brodą, lub z tyłu. Pod spodem rondo podszyte atłasem takiego jak chusteczka koloru. Takie kapelusze służą do negliżowego ubrania na wsi, do wód, lub do kąpieli.

N. 5. Kapelusz z czepeczkowem ubraniem. Kapelusz z grubej słomy Manilla, miał rondko z przodu 12 cent. szerokie, z tyłu wązkie i w równe fałdy wygięte. Ubranie czepeczkowe z gazowego długiego woalika koloru ficelle, oszytego koronką 5 cent. szeroką, upiętego złotemi szpilkami w ten sposób na główce, że koronka z jednej strony zachodzi na bukiecik z heljotropów, a końce spadają na karczek z tyłu. Od spodu rondo podszyte aksamitem bordo, szarfy aksamitne 7 cent. szerokie.

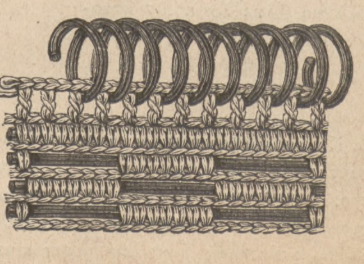
N. 6. Szlak do haftu kolorowego na aksamicie lub atłasie. Szlak taki służyć może do poduszek, torebek ręcznych, koszyczków i t. p. Model robiony był na aksamicie oliwkowym, filozelą dwunitkową, kwiaty naprzemian kolorem bordo i niebieskim, a liście dwoma cieniami żółtawo-



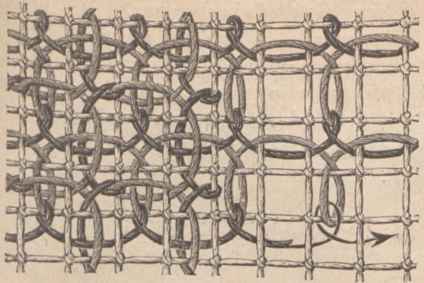
N. 17. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



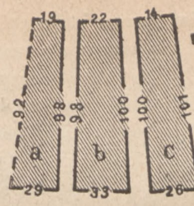
N. 10. Część pałączka do koszyczka, ryc. 7.



N. 11. Część ścianki bocznej do koszyczka ryc. 7.



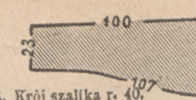
N. 18. Zasnucie tła siatkowego do lambrekiny ryc. 20.



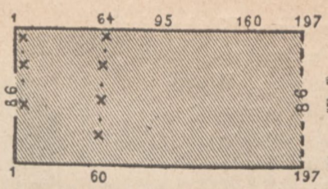
N. 21. Wskazanie kroju spódnicy ryc. 15-16.



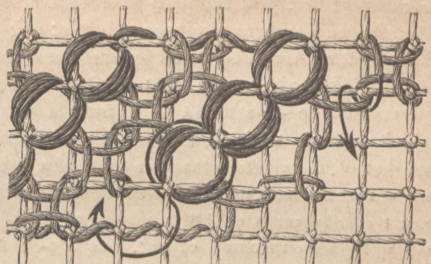
N. 23. Krój podstawy do czepeczka ryc. 27.



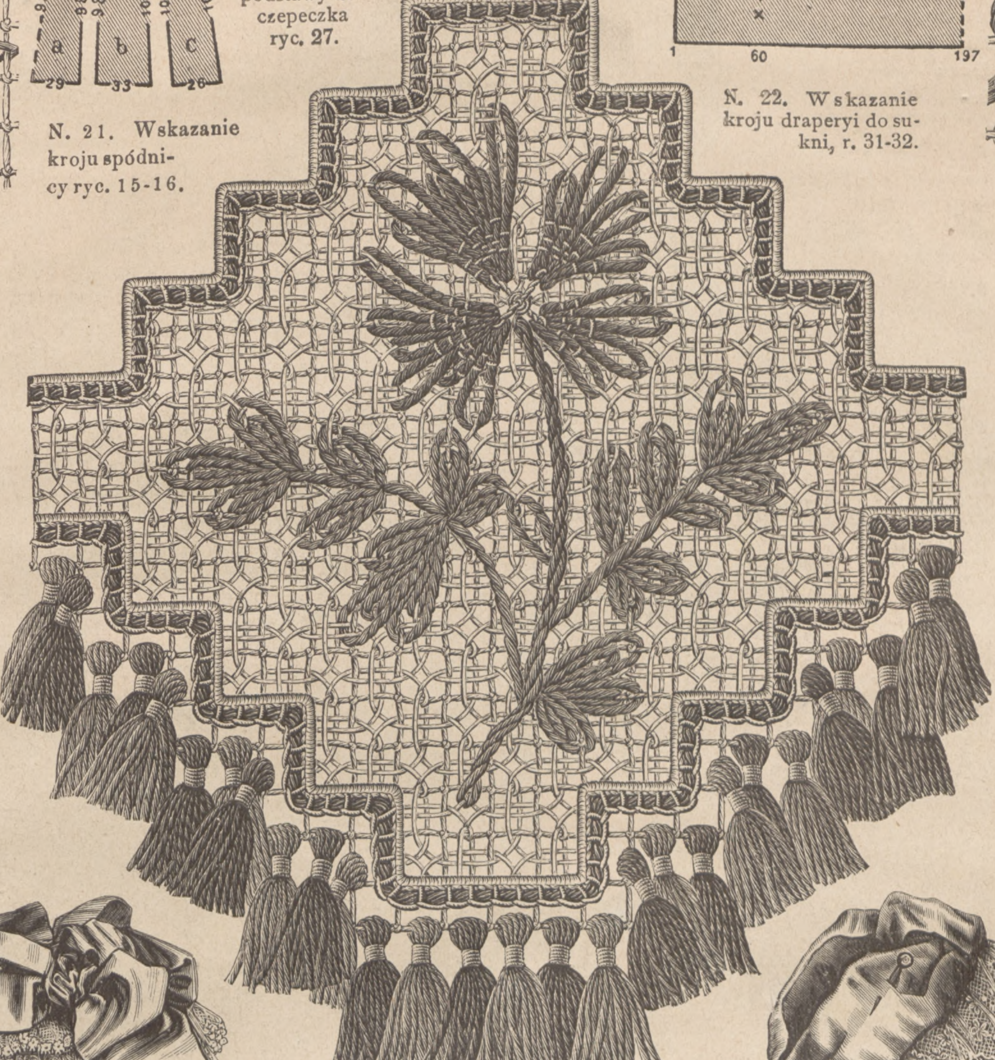
N. 24. Krój szalika r. 40.



N. 22. Wskazanie kroju draperyi do sukni, r. 31-32.



N. 19. Zasnucie tła siatkowego do lambrekiny ryc. 20.



N. 20. Lambrekina siatkowa do r. 10 w N. 30. Patrz ryc. 18—19.

liwkowemi. Kontury i wązki szlaczek robione nitką złotą, przeszywaną jedwabiem złotego lub takiego jak kwiaty koloru. Blaszki złote przeszywane cienką nitką złotą.



N. 25 Przód sukni ryc. 2. N. 26. Przód sukni ryc. 5. w N-rze 30.

N. 7—11. Koszyczek do robót. Robota szydełkowa na trzcinie.

Koszyczek robiony był na trzcince bronzowej, której grubość widoczna jest na próbce 8, 10 i 11, dość grubemi nićmi popielatemi, kłębuszkowemi, szydełkiem. Trzcinka kręcona i kokardy ze wstążki 3 1/2 cent. szerokiej, służą do ozdoby. Dno, ścianka boczna i ucho, robione są oddzielnie, a następnie spojone igłą. Ryc. 9 przedstawia całe denko w zmniejszeniu, a ryc. 8 gwiazdkę środkową, ażurową i początek matowej roboty w naturalnej wielkości. Gwiazdę robi się bez trzcinki, którą podkłada się dopiero w drugiem dzierganem, obrobieniu, w rzędzie pierwszym kółku środkowem podkład dziergania stanowi obrobienie o: ścisłemi. Koniec pierwszy trzcinki ścina się skośnie i podsuwa pod dzierganie; w ciągu roboty gdy wypadnie spajac trzcinki, zrzyna się skośnie końce tak żeby do siebie przystawały i zeszywa. W pierwszem obrobieniu z trzcinką daje się ciągle na przemian 2 o: ści: od spodu, 4 o: ści: na trzcince. W tym rzędzie zaczynają się pasy proste przedzielane trójkątami widoczne w całości na ryc. 9. Przybieranie oczek potrzebne do stopniowego powiększania koła, następuje zawsze w oczkach ścisłych robionych w trójkątach pod trzcinką. Pasy proste deseniowe liczą zawsze o: 10, trójkąty rozszerzają się w każdem obrobieniu



N. 29. Plecy do ryc. 30. N. 31. Przód sukni r. 32.



N. 27. Czepeczek z szeroką wstążką. Patrz ryc. 23.



N. 28. Czepeczek przepięty szpilkami.



N. 33. Fartuszek z haftem gobelinowym i kratką ażurową. Patrz ryc. 34.



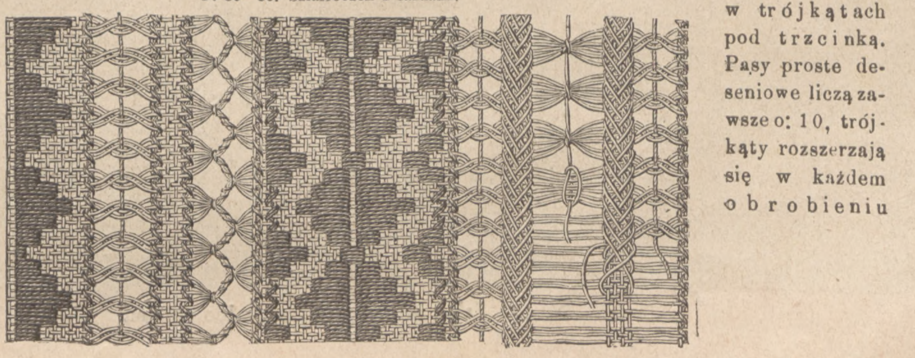
N. 35—36. Szlafroczek z fałdami.



N. 37. Fartuszek ze szlakami przerabianemi fabrycznie.



N. 30. Suknia z przemarszczaniem (coulisse.) Patrz plecy r. 29.



N. 34. Szlak do fartuszka, ryc. 33.



N. 32. Suknia z szalową draperyą. Patrz. ryc. 22 i 31.

o odwa o: ści: pod trzcinką w środku przybrane. W obrobieniu drugim na deseń pasów prostych 2 o: ści: na trzcince, 2 od spodu, 2 na trzcince, 2 od spodu, 2 na trzcince. W rzędzie 3 jak w pierwszym, w 4 rzędzie 10 o: na trzcince; powtarzać te 4 rzędy aż do końca. Po 12 obrobieniach daje się taki jak na pasach rzucik na środku trójkątów, lecz tutaj stanowią go oczka robione na wierzchu tzcinki. W ostatniem obrobieniu trójkąty mają o: 18, poczem obrabia się w koło na trzcince o: ści:, przybierając nad trójkątami na przemian o: 7 i 8, dalej na deseń trzy razy bez przybierania dając w rzędzie pierwszym ciągle 9 o: na trzcince 3 od spodu, w rzędzie 2-gim 3 o: z wierzchu, 3 od spodu, w rzędzie 3-cim jak w pierwszym. Raz w koło gładko na trzcince i zakończyć rzędem z 3 o: pod, 1 na wierzchu trzcinki. Ścianę koszyczka robi się także w koło, podług miary denka; próbkę roboty dajemy na ryc. 11. Środek stanowi 11 obrobień, w których daje się na przemian 7 o: ści: na trzcince i 7 o: powietrznych, zakończonych po brzegach 1 rzędem o: ści: na trzcince i drabinką ze słupków, przez którą przewłóczy się trzcinkę kręconą. Do kręcenia moczy się trzcinkę przez kilka godzin w wodzie, gdy jest dostatecznie giętka, nawija się ją na wałeczek mający cal średnicy, suszy a potem zesuwa z wałeczka i przewija przez słupki. Pałączek zrobić podług ryc. 10, zeszyć części z lewej strony i dodać kokardy.



N. 38. Zarzutka z szalowym kołnierzem.

N. 40. Szalik koronkowy. Patrz krój na ryc. 24.

N. 38—42. Ubrania spacerowe i na koncert.

N. 39. Suknia z koronkowym żabotem.

N. 41. Dolman z hiszpańskiej koronki.

N. 42. Szalik koronkowy, jako zarzutka.

N. 12. Spódnica do sukni z draperyą fałdowaną.

Na modelu taka spódnica z orzechowego beżu, dodana była do długiego paltocikowego stanika; na gładko dopasowanej podszewce przyszyty wolant 58 cent. szeroki, w podwójne kontrafałdy układany, nad którem przód i boczne bryty układa się w kontrafałdy pojedyncze. Przyszycie falbany przykrywa riusza 12 c. szeroka, podszyta materyą. Draperyę z przodu układa się z dwóc 70 cent. szerokich, w fałdy ułożonych brytów. Na krótkie, sute upięcie z tyłu trzeba prostego, 108 cent. szerokiego bryta.

(*D. n.*)



N. 43. Szlak wyszyty srebrem albo złotem.